Rok III. Lwów, dnia 1 lipca 1897. Nr. 13.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

NIEPODLEGŁA POLSKA I POLITYKA CHWILI BIEŻĄCEJ.

Każdy naród, powiększający swój dorobek duchowy i materyalny, zdolny do wytworzenia i rozwijania własnej kultury, świadomy swej jedności i odrębności swych interesów — dążyć musi do zdobycia niezależności politycznej. Widzimy coraz częściej objawy tego dążenia w tych nawet społecznościach narodowych, które w przeszłości ani własnego państwa, ani samoistnej wyższej kultury nie miały, tem bardziej więc jest ono naturalnem i uprawnionem w narodzie, który posiada żywą tradycyę samodzielności kulturalnej i politycznej.

Dążenie do niepodległości politycznej w różnych objawiać się może formach, różne zakładać sobie cele: federacyi, unii osobistej dwóch narodów, wreszcie zupełnej odrębności państwowej. Zależy to od układu warunków zewnętrznych, od stosunku sił i t. d.; różnica, zresztą więcej pozorna, w celu, nie zmienia jednak istoty tego dążenia, które stanowi główną treść historyi ostatniego stulecia i jest znamiennym rysem naszej epoki.

Polityka realna liczy się z tem, co w rzeczywistości istnieje lub istniało, a więc *eo ipso* istnieć może. Niema w dziejach przykładu narodu, któryby rozwijał się, lub chociażby tylko zachowywał nieuszczuploną swoją odrębność pod obcem panowaniem. Naród ujarzmiony musi albo dążyć do zdobybia czy odzyskania niezależności politycznej, albo zgodzić się dobrowolnie na stopniowe zamieranie swej odrębności etnicznej i kulturalnej. *Tertium non datur*, chociaż możliwym jest długoletni, a nawet wieki trwający stan tymczasowy.

O tem, że naród, rozwijający swą siłę i świadomość, dążyć musi do niezależności państwowej, wiemy nietylko my, ale wie każdy mąż stanu, każdy publicysta, każdy człowiek rozsądny i wykształcony w Europie, obeznany choć cokolwiek z historyą nowszych czasów. Dążenie, o którem mówimy, jest procesem naturalnym, w gruncie rzeczy takim samym, jak rozwój wszelkiej istoty żywej. Nie jest to tajemnica, którą myżna ukryć, dyplomatycznie przeinaczyć, zakonspirować. W wydanej niedawno broszurze rosyjskiej niejaki p. Bagnicki zaznacza, że od profesorów rosyjskich dowiedział się o prawie Polaków do posiadania własnego państwa, jak i o tem że »zagłada narodowości historycznej jest rzeczą niemożliwą«, a wykłady uczonych niemieckich umocniły w nim to przekonanie.

Śmiesznem poprostu i naiwnem, albo świadomie kłamliwem jest zdanie, że jawne zaznaczenie naszego dążenia do niezależności państwowej »rekomenduje nas jako politycznych przeniewierców« wobec rządów. Niema polityka i rozsądnego publicysty rosyjskiego lub niemieckiego, któryby nie rozumiał, że to dążenie jest naturalnem, koniecznem. Niedawno na posiedzeniu sejmowem poseł Czarliński powiedział: »Chciałbym widzieć ministra pruskiego, któryby uroczyście zaręczył, że utworzenie w przyszłości niepodległego państwa polskiego jest niemożliwem«. I żaden minister pruski nie chciał narazić się na taką śmieszność, na jaką narażają się nieraz nasi lojalni mężowie stanu, protestując przeciw wygłaszaniu podobnych przewidywań.

Pisma rosyjskie, nawet *Nowoje Wremia*, oceniając fantazye polityczne p. Bagnickiego, nie oburza ją się bynajmniej, na wygłoszone w tej broszurze zdanie, że każdy naród, czujący swą odrębność, musi posiadać pewną niezależność polityczną i dążyć do połączenia się w jedną całość.

Wiadomo zresztą każdemu, znającemu cokolwiek historyę polityczną XIX wieku, że projekt niemiecki utworzenia polskiego *Zwischen staatu* nie jest tylko fantazyą dziennikarską i że państwa bezpośrednio zainteresowane kilkakrotnie podobnymi projektami się zajmowały. Wiadomo również, że cesarz Mikołaj I nosił się z myślą odstąpienia Królestwa, a Metternich nie był przeciwny odłączeniu od Austryi Galicyi, ma się rozumieć, za pewną kompensatę, co dowodzi tego przynajmniej, że utrata lub dobrowolne odstąpienie tych prowincyi w najwyższych sferach rządowych Rosyi i Austryi były przewidywane i możliwość podobnego rozwiązania sprawy polskiej nie wywołuje w nich wielkiego oburzenia. A publicystyka rosyjka niejednokrotnie roztrząsała myśl odstąpienia Królestwa, byle tylko Polacy wyrzekli się wszelkich uroszczeń do »kraju zabranego« t. j. do Litwy i Rusi. Ma się rozumieć, były to rozprawy akademickie, nie mające znaczenia praktycznego, dowodzą one jednak, że opinia publiczna rosyjska liczy się, bo liczyć się musi, z koniecznością przyrodzoną naszego dążenia do odzyskania niezależności państwowej.

Zarówno w sferach rządowych, jak i w opinii publicznej wrogich nam społeczeństw raczej głoszenie podobnych niedorzeczności, jak ta, że wyrzekamy się myśli odzyskania kiedyś samodzielnego bytu państwowego, kompromituje naszą uczciwość polityczną i budzić musi pewne wątpliwości: czy istotnie postępowanie nasze nie ukrywa jakichś wrogich zamiarów, które do czasu maskujemy udaną lojalnością.

W społeczeństwie naszem wskutek braku życia politycznego, a raczej ograniczenia jego zakresu działaniem dyplomatyczno konspiracyjnem wytworzył się nastrój umysłowy, utrudniający trzeźwe i realne, jasne i otwarte traktowanie spraw publicznych, przedewszystkiem naszej sprawy narodowej. Ci mężowie stanu i publicyści, którzy w imię polityki realnej, polityki interesów występują przeciw urojeniom doktrynerów i robotom spiskowców, ci właśnie, więcej może niż inni, w sposobie pojmowania spraw i dążeń politycznych są dziś niepoprawnymi doktrynerami i spiskowcami, wy-

rodnymi ze względu na swe uczucia i przekonania, ale nieodrodnymi ze względu na metodę myślenia politycznego potomkami swych ojców i dziadów. Polityka ugodowa w zaborze pruskim i rosyjskim była przecie i jest w taktyce swej spiskiem, z tą różnicą tylko, że jest to spisek antyrewolucyjny.

Tacy politycy nowego pokroju, w gruncie rzeczy konspiratorzy tchórzliwi i nieudolni, podobni są w pojęciach swych do ludzi pierwotnych, którzy naiwnie sądzą, że wymawianie lub niewymawianie pewnych wyrazów może mieć wpływ stanowczy na bieg spraw realnych. Rozum stanu na modłę polinezyjską lub hotentocką łudzi się, że jego dziecinna chytrość zdurzyć kogo może, że rządy i narody, o które nam chodzi, skoro nie będziemy mówili o naszem dążeniu do niezależności, uwierzą, że tego dążenia w społeczeństwie polskiem niema, uwierzą nawet wbrew logice i doświadczeniu historycznemu.

Przedewszystkiem w państwach konstytucyjnych, jak Austrya i Prusy, dążenie pośrednie do zdobycia, niezależności politycznej — bo o działaniu bezpośredniem dla osiągnięcia tego celu dzisiaj niema mowy — nie jest bynajmniej nielegalnem, nie sprzeciwia się ustawom zasadniczym. Przeciwnie, daje się prawie zupełnie lub nawet całkowicie pogodzić z obowiązkami względem państwa, jeżeli państwo spełnia swe obowiązki względem obywateli. Polacy w Austryi z całą szczerością i bez szkody dla interesów narodowych mogą spełniać określone ustawami obowiązki względem państwa, najprzód dlatego, że interes państwowy zbiega się w pewnej mierze z naszym interesem narodowym, powtóre dlatego, że narodowość nasza swobodnie rozwijać się w niem może, wreszcie dlatego, że niema obecnie warunków odpowiednich, któreby nam pozwalały zmierzać bezpośrednio do osiągnięcia zjednoczenia narodowego i niezależności politycznej. Ale zarówno w Wiedniu, jak w Petersburgu i w Berlinie, nie łudzą się wcale, iż w pewnych okolicznościach najlojalniejsi z lojalnych dzisiaj nie wahaliby się skorzystać ze sposobnosci odzyskania samodzielnego bytu państwowego dla swego narodu. W Wiedniu rozumieją tylko, że w danej chwili nasz interes narodowy nakazuje nam lojalne zachowanie się względem państwa austryackiego i że interes tego państwa nie wymaga bynajmniej krępowania rozwoju naszej narodowości. Na tem właśnie i na tem jedynie opiera się kompromis, korzystny dla stron obu, nie zaś na zobowiązaniu wyrzeczenia się dążeń do niepodległości politycznej.

To przeświadczenie nie przeszkadza życzliwej dla Polaków polityce rządu w Austryi, nie przeszkadzałoby jej również w Rosyi i w Prusiech, gdyby w grę nie wchodziły inne jeszcze czynniki. Dla Austryi Polska niezależna nie byłaby groźną, owszem byłaby sąsiadką pożądaną, tem bardziej, że nie jest wykluczoną możliwość zjednoczenia ziem polskich w związku państwowym z Austryą. Dwie narodowości, panujące w monarchii, Niemcy i Węgrzy zgodziliby się nawet chętnie na odstąpienie Galicyi, zwłaszcza w zamian za rozszerzenie terytoryum lub wpływów państwa na półwyspie bałkańskim. Dla Rosyi natomiast powstanie państwa polskiego, chociażby w granicach etnograficznych, groziłoby niebezpieczeństwem poważnem, ze względu na Ruś i Litwę, dla Prus zaś, utrata prowincyi polskich byłaby poprostu ciosem zabójczym, podkopałaby ich potęgę państwową. Ufne w swoją siłę, w swoją przewagę liczebną Rosya i Prusy, zaślepione dotychczasowem powodzeniem, nie chcą żadnego kompromisu z dążeniami narodowemi polskiemi i zmierzają systematycznie do wytępienia lub przynajmniej do osłabienia naszej narodowości, do powstrzymania jej rozwoju, do odebrania jej znamion odrębnych. Jest wszakże, a raczej może być w polityce tych państw pewna, dosyć nawet znaczna różnica.

Silne swoją jednolitością i przewagą liczebną nad żywiołem polskim, który stanowi zaledwie 6% jego ludności, państwo niemieckie spodziewa się, że ten żywioł obcy zasymiluje. Prusy nie mogą wyrzec się dobrowolnie prowincyi polskich i są jeszcze dość silne żeby Polakom ustępstw żadnych nie robić pod naciskiem konieczności Zmiany w tej polityce są możliwe tylko w granicach ogólnego ustroju państwowego i tylko na tym gruncie konstytucyjnym odbywać się musi walka o nasze prawa narodowe. W Austryi więc i w Prusiech zaznaczenie w programach politycznych naszego dążenia do niezależności państwowej jest w zwykłych warunkach zbytecznem, chociaż z zupełnie odmiennych przyczyn. Ani polityka państwowa Austryi, ani polityka narodowa ludów austryackich nie jest w zasadzie dążeniu temu przeciwną. Natomiast polityka pruska nie chce i nie może zawierać z dążeniami naszemi narodowemi żadnego kompromisu, walka zaś o nasze prawa toczy się na gruncie ustaw państwowych, ma charakter formalny, jest właściwie walką o prawa obywateli pruskich i raczej szkodliwem dla sprawy naszej, niż pożytecznem, byłoby nadawanie jej innego znaczenia. Ponieważ jesteśmy przekonani, że polityka pruska od celów swoich nie odstąpi, ukrywanie naszych dążeń byłoby śmieszną naiwnością, ale wysuwanie ich w działalności publicznej i popisywanie się niemi byłoby śmieszną brawadą W państwie rosyjskiem, niejednolitem i nie posiadającem przewagi kulturalnej nad narodowościami podbitemi, żywioł polski ma daleko większe niż w Prusiech znaczenie. Polityka rosyjska jeżeli nie jest dziś, to może być, a nawet musi być inną, niż pruska. Utrata Królestwa, a chociażby nawet Litwy, nie osłabiłaby właściwie potęgi Rosyi. Zresztą w polityce rosyjskiej już w XVIII wieku dosyć wyraźnie występował zamiar zagarnięcia wszystkich ziem polskich. Ten zamiar uwydatnił się następnie w polityce Aleksandra I w pierwszych latach jego panowania i dotychczas jest popularnym w opinii pewnych kół wpływowych, a echa jego odzywają się od czasu do czasu w publicystyce rosyjskiej. Nie jest bynajmniej śmiałą fantazyą przypuszczenie, że polityka rządu rosyjskiego plan ten nanowo w bliskiej przyszłości podejmie i niektórzy zwolennicy polityki ugodowej wojują nawet tym argumentem. Nie zapuszczając wzroku w przyszłość i nie nadając podobnym przypuszczeniom wielkiego znaczenia, sądzimy, że właśnie wobec rządu i opinii publicznej jasne i szczere zaznaczenie naszego stanowiska, naszego dążenia do niezależności politycznej raczej przyczynić sią może do uregulowania stusunku wzajemnego, aniżeli tej sprawie zaszkodzić. Wypieranie się zaś tego dążenia jest dziecinnym wybiegiem i nasuwać może tylko podejrzenie przeniewierstwa politycznego.

Błędnem jest mniemanie, że nasza otwartość w sprawie, która w każdym razie jest zadaniem dalszej przyszłości, zaszkodzi uregulowaniu stosunku ludności polskiej do państwa, jeżeli to ostatnie ze względu na swój interes postanowiło zmienić lub złagodzić system polityczny. A tylko w tym wypadku, t. j. kiedy Rosya lub którekolwiek inne państwo we własnym interesie zmienić chce swój stosunek do ludności podbitej, t. j. kiedy do tego jest pośrednio lub bezpośrednio zmuszonem, zmiana może być pewną i trwałą. Polityka dzi-

siejsza i dyplomacya współczesna nie zajmują się sprawami dalszej przyszłości, poprzestając na oportunistycznem załatwianiu spraw bieżących. Stosuje się to do polityki zewnętrznej jak i wewnętrznej. Nikt się chyba nie łudził, tworząc Rumelię Wschodnią, że ta prowincya w krótkim czasie nie połączy się z Bułgaryą i nikt się dziś nie łudzi, że autonomiczna Kreta prędzej czy później nie połączy się z Grecyą. Taki sam charakter tymczasowy mają wszelkie reformy wewnętrzne jak np. rozszerzanie prawa wyborczego. Przeciwniwnicy powszechnego głosowania tworzą piątą kuryę, wiedząc, że jest ona przejściem tylko do zgubnego ich zdaniem systemu, robią ustępstwo bo muszą, przewidując doskonale jego skutki. Konieczność chwili bieżącej jest nakazem kategorycznym dla polityki.Zresztą chociażby z przeszłości stosunku do Rosyi przekonać się można, że wyraźne dążenie narodu do odzyskania bytu politycznego (np. w początku bieżącego stulecia) nie przeszkodziło bynajmniej polityce ustępstw dla Polaków, owszem było poniekąd bodźcem do niej.

Wszystkie jednak przytoczone wyżej względy nie są jeszcze decydującymi w tej sprawie, o której obecnie mówimy. Wzgląd na rządy i opinię publiczną narodów panujących nad nami jest niewątpliwie bardzo ważnym. Możliwość przypuszenia z ich strony, że obniżył się poziom naszych aspiracyi narodowych, że zrezygnowaliśmy z dążenia do niezależności, jest jakby wydanem przez nas zaświadczeniem skuteczności ich polityki dotychczasowej i osłabiać musi pochopność do ustępstw. Zwłaszcza zaś we wszelkich rokowaniach ugodowych, w każdym kompromisie politycznym, który w gruncie rzeczy jest targiem, abdykacya dobrowolna ze swego stanowiska dotychczasowego jest dla strony ustępującej zgubną. Ma się rozumieć, nikt nie uwierzy, że naród polski wyrzec się może dążenia, które jest naturalnym wynikiem jego rozwoju, ale niechybnie i słusznie pomyśli, że przedstawicielstwo tego narodu, które w sprawach publicznych głos zabiera, nie ma świadomości sił swego społeczeństwa, a samo jest politycznie naiwnem i niedojrzałem. U nas politykę interesów prowadzić chcą ludzie, którzy nie mają pojęcia o istocie, ani o załatwianiu interesów publicznych. Oni używają nowych wyrazów, ale nowe pojęcia polityczne nie mają dostępu do ich mózgów, które stara rutyna myślenia ukształtowała i unieruchomiła. Nałóg dyplomacyi szlacheckiej i naiwnego konspirowania nie pozwala im zrozumieć polityki prostej, jasnej, otwarcie określającej zadania swe i cele, prawdziwej polityki narodowej, która inną być nie może, jeżeli chce na ogół oddziaływać i jego dążenia i interesy przedstawiać.

I dlatego właśnie, przedewszystkiem ze względu na nasze społeczeństwo, dążenie do niezależności politycznej powinno być wyraźnie we wskazaniach programowych formułowanem. W społeczeństwie naszem równie jak w każdem innem, ogół nawet inteligentny nie zna dokładnie ani historyi, ani praw rozwoju politycznego. Doświadczenia, które przybyliśmy, dały nam jakie takie wskazówki praktyczne, ale już sama różnorodność ich i mnogość zaciemnić tylko mogła trzeźwość sądu, wykrzywić zmysł polityczny. Tylko niedojrzałe i pozbawione elementarnego wykształcenia politycznego społeczeństwo łudzić się może takiemi mrzonkami, jak zachowanie bytu narodowego pod obcym rządem, a tem bardziej pod trzeba obcymi rządami. Anglik lub Francuz i wogóle każdy człowiek, należący do narodu. który umie myśleć politycznie skoro mu ten program zachowania bytu narodowego wykładamy, uśmiecha się z pobłażliwą ironią. I takie oto niedorzeczności z namaszczeniem wygłaszają narodowi ludzie, którzy jednocześnie twierdzą, że doświadczenie przesłości jest najlepszą nauką dla teraźniejszości i przyszłości, a nie mogą wskazać ani jednego analogicznego przykładu.

Otóż, chociażby dla przeciwdziałania w opinii publicznej podobnym bałamuctwom, zwłaszcza w chwili kiedy okoliczności rozszerzeniu ich sprzyjają, należy zaznaczyć, że dążenie do niepodległego bytu państwowego jest logicznym wynikiem niezaprzeczanego wzrostu i rozwoju naszych sił duchowych i materyalnych, jest koniecznością przyrodzoną, której powninišmy być świadomi.

Niepodległość polityczna! Na dźwięk tych wyrazów w wyobraźni naszych mężów stanu i polityków powstają straszne widma spisków, krwawych zamachów, zbrojnych powstań i innych okropności, zawartych w jednem słowie — rewolucya. Nie potrzeba chyba zaprzeczać, bo nikt temu nie wierzy, żeby ktokolwiek dziś w Polsce myślał o bezpośredniem lub chociażby pośredniem przygotowaniu powstania. Ale jest również bałamuctwem politycznem, dziecinnem złudzeniem przekonanie, że zmiana pojęć moralnych i stosunków politycznych i społecznych w przyszłości pozwoli nam swobodnie i wszechstronnie rozwijać naszą narodowość pod obcem panowaniem, a tem bardziej, że odzyskanie niezależności państwowej Polski nastąpi z woli Boga, wskutek tryumfu zasad sprawiedliwości, ale niewiadomo jak, *quo modo* i *quibus auxiliis*. Zapewne, taka ufność nieokreślona może być wielką pociechą dla dusz słabych i skołatanych niedolą, dla umysłów prostych, ale ogół myślący powinien mieć jasną świadomość, że stać się może to tylko za naszą sprawą, lub przynajmniej z naszym czynnym udziałem, w sposób, który już nasi dziadowie określili, »co nam obca moc wydarła — mocą odbierzemy«. Mocą swoją i cudzą, wskutek kombinacyi dyplomatycznych i starć zbrojnych, i ma się rozumieć, powstań i innych strasznych dziś dla wyczulonych naszych nerwów przedsięwzięć. Krwią i żelazem i rozumem politycznym odzyskiwały zawsze wolność narody, a my nie jesteśmy ludem wybranym, dla którego wyższa wola zmieniałaby prawa historyi. Czy to się stanie za 10, 20, czy za sto lat — odpowiedzieć dziś nikt nie potrafi, ale że się inaczej stać nie może, jak się gdzieindziej i kiedyindziej podobne przewroty odbywały — to wątpliwości nie ulega.

Niema dla nas dróg innych, krom tych, po których wszystkie kroczą narody. Albo nie mamy w sobie sił żywotnych i wtedy powolnie zamierać będziemy, albo dążyć musimy do celu, który jest koniecznym wynikiem naszego rozwoju politycznego i społecznego, zatamowanego chwilowo, ale nie powstrzymanego i dążyć musimy tą samą utartą już dla nas i poniekąd przez nas drogą, po jakiej inne szczęśliwsze ludy do tego celu doszły. Wszelkie zaś wskazówki, które nam wykreślają inne drogi — to nawet nie złudzenia marzycieli, ale majaczenia nieuków lub niedołęgów politycznych....

Pozostaje jeszcze wzgląd jeden, ostatni, ale bodaj najważniejszy. Do niedawna życie duchowe było przywilejem, monopolem nielicznej warstwy przewodniczącej w narodzie. Dziś przedstawiciele tej warstwy widzą sami, jakiem niebezpieczeństwem grozi ogółowi, a im przed innymi, brak ideałów w życiu społecznem. Ale sfera życia politycznego pozostała dotychczas przywilejem wybranych, t. j. wszystkich, którzy się sprawami publicznemi zajmują, pozostała mianowicie w tem znaczeniu, że bez względu na swe przekonania nie troszczą się zwykle o to, jaki wpływ wywiera ich działalność

polityczna na pojęcia moralne, na zbiorową duszę narodu. Snując swoje kombinacye, wygłaszając swoje poglądy, nie pytają o to, jak ich polityka na umysły i uczucia ogółu oddziała A przecie ów ogół, owa szara masa, która bezpośrednio polityką się nie zajmuje, jest tych wszystkich poglądów i kombinacyi przedmiotem, o nią tu chodzi, bo ona jest właściwie narodem. »Narodu duch zatruty — to dopiero bolów ból« — to dopiero klęska, większa, niż wszelkie straty, jakie nam prześladowania zadać mogą. Polityka, która osłabia siłę moralną, tęgość charakteru poczucie odrębności, uczciwość obywetelską — taka polityka chociażby największemi zdobyczami pochlubić się mogła, jest w ostatecznym rezultacie dla narodu zgubną. Ten szary ogół, ten gmin ludzi zwyczajnych, którzy pracą swoją wytwarzają duchową i materyalną siłę narodu, w tej rozterce moralnej, w tem koniecznem znikczemnieniu, w które pogrążają każdego z nas i wszystkich razem wymagania życia codziennego i wymagania polityki, musi mieć jakieś dążenia wyższe, jakiś ideał zbiorowy, bo inaczej zatraci poczucie ludzkiej i narodowej godności. To, co dla polityka jest »racyą stanu«, koniecznością przykrą, z której łatwo się później otrząsa — dla ogółu, w jego postępowaniu staje się podłością, zaprzaństwem, zdradą. I dlatego dziś właśnie, kiedy polityka ugodowa zatruwa ducha ogółu, mąci jego pojęcia moralne i przekonania obywatelskie — trzeba wyraźnie zaznaczyć cel idealny naszych dążeń narodowi, żeby miał w co wierzyć, co ukochać, dla czego żyć i pracować, a jak potrzeba — to i umierać, »czegośmy za przykładem panów ojców naszych w tej rzeczy pospolitej zwyczajni«.

SAMOPOMOC W POLITYCE EKONOMICZNEJ.

I.

Ciekawie kształtuje się nasza myśl polityczno-ekonomiczna. Nie wiem, czemu to przypisać, czy długiej niewoli, w której odwykliśmy od jawnego życia publicznego, czy też specyficznej skłonności naszych mózgów do powierzchownego i nazbyt nerwowego traktowania zarówno spraw ważnych, jak i drobiazgów życiowych, czy też wreszcie obu tym czynnikom w równej mierze — faktem jest jednak, rzucającym się w oczy, że posiadamy rzadką zdolność wyznawania w jednym i tym samym czasie najsprzeczniejszych poglądów gospodarczych i pozwalamy im żyć obok siebie w rozczulającej zgodzie, nie troszcząc się ani chwili o logikę lub wewnętrzną ścisłość naszych rozumowań. Wydawać by się niemal mogło, że nietylko ogół publiczności, lecz i prasa nasza, mająca niby to kierować opinią narodu, przedewszystkiem wyprzysięgają się konsekwencyi. Przypominamy pod tym względem dzikusów, którzy co prawda umieją niekiedy zwyciężać nawet europejskie armie, lecz korzystać ze zwycięstw nie potrafią. Również i my, zdobędziemy się od czasu do czasu na jakiś rozumny krok gospodarczo-polityczny, lecz na tem koniec. Zadowoleni sami z siebie odpoczywamy znów lata całe, dopóki nie spostrzeżemy ze zdziwieniem, że ani śladu nie pozostało z owego wybuchu naszej energii, że położenie nasze, jeżeli nie gorsze, to i nie lepsze, niż przeetem Wtedy oskarżamy o złą wolę lub niedołęstwo inicyatorów i kierowników sprawy, albo też filozofujemy na temat fatalnej bezskuteczności usiłowań jednostek i społeczeństw, kroczących o własnych siłach, wobec zorganizowanej, obdarzonej opieką rządową akcyi naszych wrogów i współzawodników. Na tle tego rodzaju rozczarowań i zwątpień dziwnie pociągająco błyszczą w polityce hasła ugodowe. I nęcą one nietylko charaktery słabe, lękające się walki i poświęceń, lecz co gorsza posiadają pewien urok i dla niektórych natur, w gruncie niezłych, a więc dla ludzi, gotowych nawet do służby obywatelskiej, którym prócz własnej ich korzyści i dobro narodu leży na sercu.

Chcieliby oni pracować dla ogółu, lecz wszelka praca społeczna, bez poparcia rządu, wydaje się im z góry na bezpłodność skazaną. Krok stąd tylko do podpisania programu ugody który w zakresie spraw gospodarczych sprowadza się u nas przedewszystkiem do wypraszania u rządu najrozmaitszych ulg i koncesyi. I nic w tem dziwnego. Brak nam kultury ekonomiczno-politycznej, brak nam odpowiednich tradycyi i brak wyrobienia w kwestyach gospodarki narodowej. Jeżeli na jakiem polu coś zrobiliśmy — to raczej w zakresie finansów, nie właściwej polityki ekonomicznej. I jak w czasach naszej samodzielności państwowej — najmniej na nią zwracaliśmy uwagi — tak też i dzisiaj społeczeństwo nasze nie odczuwa konieczności, ba, nawet potrzeby jej posiadania. Co prawda, od lat 30 z górą mówi się u nas o pracy społecznej, o ekonomicznych potrzebach narodu, o walce ekonomicznej, o konkurencyi krajowego przemysłu z zagranicznym itd., a nawet i robi się coś niecoś w tym kierunku, lecz wszystkie te rzeczy albo się traktuje ze zbyt szerokiego, filozoficzno-socyologicznego punktu widzenia, przyczem oczywiste konkretne postulaty polityczno-ekonomiczne tracą wszelkie realne znaczenie, albo też nie wychodzi się po za wązki widnokrąg osobistych interesów pewnej poszczególnej warstwy producentów. Właściwie w ostatecznym rezultacie te początkowo tak sprzeczne stanowiska doprowadzają do jednakowych praktycznych wyników — do usunięcia z dziedziny naszego ekonomicznego życia wszelkich innych czynników, prócz wulgarnych kupieckich względów popytu i podaży, do zaniku w naszem społeczeństwie świadomości narodowych potrzeb gospodarczych.

Nie znaczy to, byśmy już nigdy ich odczuć nie mogli. Zdarzają się wyjątkowe chwile. Ot, chociażby niedawno temu rozległ się w prasie naszej okrzyk: precz z niemieckimi towarami! I hasło to było zupełnie na miejscu. Społeczeństwo polskie zrozumiało w danym wypadku, że nie może ono w swem gospodarczem życiu kierować się wyłącznie zasadą największego zysku, że wobec kwestyi bytu lub niebytu narodowego jedynie rozumną gospodarką będzie ta, co byt ten zapewnić, utrwalić potrafi. Lecz przytoczony powyżej fakt — to wyjątek, a wyjątki tego typu jedynie potwierdzają regułę. Bo czyż może być poważniejszy dowód polityczno-gospodarczego niewyrobienia nad odruchowy charakter wszelkich czynów samopomocy ekonomicznej tak właściwy społeczeństwu naszemu. Nie sił żywotnych nam brak, ale odpowiedniej kultury, którаby kazała myśleć poważniej i zastanawiać się głębiej nad potrzebami narodowej gospodarki i pozwoliła na opracowanie ścisłego planu zaspokojenia tychże potrzeb. Być może jednak, czytelnik zechce mi zaprzeczyć, twierdząc, że polityka ekonomiczna to rzecz państw i ich rządów, oraz, dla poparcia twierdzenia, odesłać mię do całego szeregu podręczników, w których, prócz zbioru praw, przepisów administracyjnych, ich komentarzy i projektów, nic wię-

cej nie znajdę. I może przyznałbym mu słuszność, gdyby narody czerpały swą polityczno-ekonomiczną mądrość z książek. Na szczęście wszakże dla nas, tak nie jest. Nie praktyka wypływa z teoryi, lecz raczej teorya ma źródło w praktyce. Stąd niema i być nie może praw i reguł polityczno-ekonomicznych, bezwzględnie prawdziwych, zawsze a wszędzie słusznych i zbawiennych.

Tak np. Niemcy, zarówno uczeni teoretycy, jak i zwyczajni profani, widzą w podatku dochodowym typ idealny równomiernego rozłożenia ciężarów państwowych na jednostki, Francuzi zaś oburzają się na samą myśl wglądania rządu w życie prywatne i wolą płacić podatki niesprawiedliwie rozłożone, niż poddać się wstrętnej dla siebie kontroli; za tym ogólnym prędem idą tam fachowi teoretycy.

To samo widzimy w pojęciu stosunku państwa do polityki ekonomicznej narodów. Francuzi, Niemcy, Anglicy, Włosi łączą ściśle politykę ekonomiczną z ideą i rolą państwa. Ze swego punktu widzenia mają słuszność. Wszelka bowiem akcya polityczno-gospodarcza z natury swej musi być planową, konsekwentną — wymaga skierowania do jednego celu usiłowań najróżnorodniejszych elementów społecznych, obliczoną bywa na długi przeciąg czasu, przyczem dla przyszłych większych korzyści, poświęca się nieraz przez cały szereg lat mniejsze, natychmiastowe zyski. Działalność zorganizowana jest tu skuteczniejszą od spontanicznej, a przymus nieraz pewniejszym środkiem niż dobrowolne zobowiązania. Naród niezależny ma w obec tego wszelkie powody by państwu oddać kierownictwo swej polityki ekonomicznej. To też uczeni i publicyści zachodu odwołują się w każdej kwestyi gospodarki narodowej do ciał prawodawczych i do rządu. Nikomu z nich wszakże nie przyjdzie do głowy głosić, by celem polityki ekonomicznej narodów nowoczesnych miały być interesy państwa, jako takiego. Wręcz przeciwnie, państwo uznanem jest dziś zarówno przez naukę, jak i przez opinię publiczną jedynie za wykonawcę woli narodu. W potrzebach i dążnościach ostatniego czerpie ono rację bytu wszelkiej swej polityki, a więc i polityki ekonomicznej. Dość przejrzeć sprawozdania z rozpraw któregobądź z europejskich parlamentów, by się o tem naocznie przekonać. Niema dla nich silniejszego argumentu w kwestyach gospodarczych po nad interes produkcyi narodowej. To też przewódcy wszelkich stronnictw starają się przepewszystkiem dowieść, że ich program najlepiej go właśnie broni. Natomiast niema gorszego zarzutu ponad zarzut fiskalizmu. Co więcej, istnieje niedwuznaczna skłonność niedowierzania państwu w kwestyach ekonomicznych. Uczeni i politycy zachodu jakgdyby *a priori* odmawiali mu zdolności należytego rozumienia potrzeb narodowej gospodarki. To też, dopóki państwo zbyt wyraźnie dominowało nad społeczeństwem, dopóki było ono nie najwyższą instytucyą narodu, lecz jego zwierzchnikiem, powszechnem było żądanie: »*laisser faire, laisser passer*«. Na interwencyę jego w sprrawach gospodarczych zaczęła się godzić opinia publiczna dopiero wtedy, gdy sama ona stała się dominującym niemal czynnikiem życia państwowego. Od tej chwili też właśnie datują dopiero narodziny nowoczesnej polityki ekonomicznej. Przed niespełna zaś półwiekiem jeszcze uznawano za szczyt mądrości politycznej pozostawienie spraw gospodarczych inicyatywie prywatnej. Pogląd to był błędny, nie wytrzymujący poważniejszej krytyki. Lecz nie da się zaprzeczyć, że w swym czasie stanowił on znaczny krok naprzód. Historya Prus po roku 1809, Francyi po wielkiej rewolucyi, a przedewszystkiem dzieje Anglii od połowy przeszłego stulecia stwierdzają to dowolnie. A jeżeli życie wykazało następnie zbyt ciasny jego charakter, jeżeli społeczeństwa zachodu uznały z czasem za odpowiednie uciec się do reglamentacyi państwowej swych spraw ekonomicznych — to źródło tego leży przedewszystkiem w zasadniczej zmianie charakteru samego państwa, w wytworzeniu się państwa narodowego, które jest dziś ideałem nawet dla takich Prus i Rosyi. Pomimo więc, iż doktryna nieinterwencyi rządowej należy już dziś poniekąd do historyi myśli ludzkiej, to jednak nie przestała być słuszną podstawowa jej zasada, że nie interes państwa, lecz charakter cywilizacyi narodowej powinien decydować o kierunku jego spraw gospodarczych. Z zestawienia zaś jej z przyznanem dziś powszechnie twierdzeniem o niedostateczności wysiłków indywidualnych, o potrzebie planowej, świadomej i z rzeczowej pracy wytworzyło się przekonanie, że naród, dla tego już samego, że, jest narodem, posiada swe odrębne wyraźne dążności polityczno-gospodarcze, że charakter jego cywilizacyi układ jego stosunków społecznych, siły ekonomiczne, jakiemi rozporządza, nakazują mu, we własnym jego interesie, świadomie starać się o pewien określony kierunek ekonomicznego życia: dążyć więc do takich, a nie innych stosunków z obcemi narodami i do takiego, a nie innego kształtowania się wewnętrznych spraw gospodarczych.

Oczywista, jak to już powiedziałem, najpewniejszym sposobem osiągnięcia powyższych celów jest prawodawstwo państwowe. Nie dowodzi to wszakże wcale, by naród pozbawiony samodzielności nie mógł mieć niezależnej od zaborczego rządu polityki ekonomicznej. Przeciwnie jedyna kensekwencya, jaka wypływa stąd dla narodów, które straciły możność regulowania swych spraw gospodarczych drogą interwencyi państwowej, to obowiązek pracy dla odzyskania tejże możności.

Zbyt to jednak ogólnikowe rozwiązanie kwestyi, by na niem poprzestać. Właściwie nawet nie mamy na to prawa, nikt bowiem jesze nie dowiódł, by naród, chcący żyć, naród z niezupełnie zamarłem poczuciem obywatelskich swych praw i obowiązków, nie potrafił zastąpić przymusu państwowego dobrą wolą, ofiarnością, solidarnością zbiorową i nie mógł drogą samopomocy dokonać prac, w normalnych warunkach wykonywanych przez państwo. Bo nie mówiąc już o tem, że w dzisiejszych konstytucyjnych państwach przymus rządowy tyle tylko ma miejsca, ile go sobie większość życzy, a przynajmniej o ile mu dobrowolnie ulega, że nie da się w żaden sposób przeprowadzić ścisła, niezależna od czasu i miejsca, granica dzieląca funkcye państwowe od spontanicznych funkcyi społecznych, że historya wszystkich narodów daje nam niezliczone przykłady, jak całe sfery życia publicznego pozostawiane długi czas inicyatywie prywatnej, przechodziły następnie do rzędu spraw państwowych i odwrotnie (szkolnictwo, filantropia, ubezpieczenia, komunikacye), że polityka ekonomiczna niektórych mniejszych organizmów politycznych, jak np. demokratycznych kantonów szwajcarskich posiada wszelkie cechy dobrowolnej akcyi społecznej, że wreszcie niema państwa, w któremby rząd nie był wspierany w swej działalności gospodarczej przez osoby i stowarzyszenia prywatne, przyczem częstokroć inicyatywa należy (w kwestyach międzynarodowego handlu niemal zawsze) do ostatnich — to nie sposób zapomnieć nam o tem, żeśmy w czasach porozbiorowych setki razy mumusieli i umieli drogą skojarzonych usiłowań prywatnych zaspakajać potrzeby publiczne, któremi się gdzieindziej

rządy opiekują. Dość wspomnieć chociażby o oświecie ludowej w Królestwie, o nauce języka polskiego w zaborze pruskim, o banku parcelacyjnym w Poznaniu, wreszcie chociażby o całej organizacyi rządu narodowego w 63 r., który to rząd posiadał między innemi i własną administracye finansową. We wszystkich dziedzinach życia publicznego, nie wyłączając i polityki ekonomicznej, złożyliśmy dowody samopomocy narodowej. Prawda, wiele było prób nieudanych, lecz żadna z nich nie wykazała, by źródło niepowodzenia leżało w tem, żeśmy się do tej samopomocy uciekać musieli, lecz jedynie żeśmy zastosowywali ją zarzadko i zaniedołężnie.

Wracając do właściwego tematu tj. do naszej polityki ekonomicznej, musimy przyznać 1) że dla naszego, jak zresztą i dla każdego innego narodu niezbędnem jest posiadanie swej własnej świadomej polityki ekonomicznej i 2) że stworzenie takiej polityki jest rzeczą wykonalną, bynajmniej nie przechodzącą sił naszych. Należy tylko z góry uświadomić sobie, co jest dla nas dostępnem. Bo jeżeli błędnem jest rozpowszechnione w społeczeństwie naszem przekonanie, że naród pozbawiony samodzielności, zmuszony jest tem samem do biernego poddawania się polityce ekonomicznej państwa zaborczego, że wszelki jego protest musi pozostać bezskutecznym, i co najwyżej, jedynie drogą dyplomacyi ugodowej jest w możności coś wytargować, to również fałszywem byłoby mniemanie, że możemy, negując z gruntu prawno-polityczne położenie naszego społeczeństwa, przeciwstawić na wszystkich punktach naszą narodową gospodarczą politykę samopomocy — polityce rządów. Nadmierny taki optymizm byłby w skutkach swych nie lepszym od panującego obecnie pesymizmu. Chcąc zrobić zbyt wiele, nie zaszlibyśmy dalej, niż dziś, gdy z góry wyrzekamy się pracy. Chociaż więc dyrektywą naszej polityki ekonomicznej może być wyłącznie nasz interes narodowy, wzgląd na naszą przyszłość, to wszakże punktem jej wyjścia powinien być całokształt warunków prawnych, w jakich żyjemy. Musimy go uznać i przyznać, i to w znaczeniu podwójnem: raz jako teren naszej działalności, mniej lub więcej ją ograniczający, a następnie jako system gospodarczy narzucony nam przez obce, nie liczące się z naszemi potrzebami, przeważnie nawet wrogo względem nas usposobione, społeczeństwo, a tem samem świadomie czy nieświadomie przeciwko nam wymierzony.

Każde więc prawo, każdy przepis, każdą ustawę musimy oceniać z podwójnego punktu widzenia, mianowicie: 1) rozpatrując, ile i w jakim stopniu krępują one inicyatywę naszego społeczeństwa i 2) analizując ich znaczenie dodatnie dla naszego gospodarstwa narodowego. Zadanie to bezwarunkowo jest trudne. Zmuszeni bowiem jesteśmy traktować jeden i ten sam system prawno-gospodarczy równocześnie i jako konstytucyę, regulującą wewnętrzne nasze życie, i jako politykę ekonomiczną konkurującego z nami narodu.

Postaram się wyjaśnić to bliżej na przykładzie, który zamierzam zaczerpnąć z panujących w zaborze rosyjskim stosunków, gdyż do Królestwa stosują się przedewszystkiem powyższe uwagi. W mniejszym już nieco stopniu dotyczą one zaboru pruskiego, nie rozpanoszył się tam bowiem tak dalece system praw wyjątkowych, a i przeciwieństwo naszych interesów ekonomicznych z interesami gospodarczymi ludności niemieckiej zarysowuje się mniej wyraźnie. Co się zaś tyczy Galicyi, to, posiadając samorząd krajowy i wpływową reprezentacyę w radzie państwa, znajduje się ona w tyle szczęśliwych warunkach, że polityka samopomocy jest dla niej co najmniej zbyteczną.

Jak to powszechnie wiadomo, Rosya systematycznie, za pomocą całego szeregu specyalnie przeciwko nam wymierzonych ustaw, w rodzaju wyższego opodatkowania naszej produkcyi, taryf różniczkowych, kaucyi, pobieranych w Królestwie od ajentur handlowych operujących i w Cesarstwie, stara się dziś osłabiać nasze społeczeństwo w stosunku do konkurentów z nad Newy i Wołgi. Fakt ten ma dla nas podwójne znaczenie i podwójne też powinniśmy z niego wyprowadzać konsekwencje.

Popierwsze równa się on nałożeniu na nasze towary ceł protekcyjnych tego typu, jaki jedynie w wypadku wojny handlowej bywa stosowanym. Lecz nawet najkrańcowsi zwolennicy nieograniczonego wolnego handlu uznają w takim razie potrzebę, a nawet konieczność, zamknięcia swych rynków dla towarów strony zaczepiającej. Co prawda, nie możemy w tym celu użyć środków przymusowych, nie możemy nałożyć na produkty rosyjskie ani jawnych, ani też zamaskowanych ceł protekcyjnych. Społeczeństwo nasze ma wszakże prawo kupować rosyjskie towary, czy też ich nie chcieć przyjmować. Nikt mu ich siłą narzucić nie może. I obowiązkiem jego jest z prawa tegos korzystać, a więc odpowiedzieć na wrogą nam politykę handlową rządu bojkotem rosyjskich koronek i płócien, kazańskich mydeł, mąki i kaszy, przysyłanej do nas z za Dniepru i t. d.

Z drugiej strony winniśmy sobie uświadomić wynikające stąd nasze położenie prawno-ekonomiczne. *De facto* obecna polityka gospodarcza Rosyi pozbawiła nas kardynalnego prawa, przysługującego reszcie jej poddanych, prawa wolnego handlu w obrębie państwa. Pod względem gospodarczym sytuacya nasza przypomina poniekąd położenie europejczyków w Chinach, zarówno bowiem jak i tamci posiadamy przywilej wolnej konkurencyi z pełnoprawnymi obywatelami, tylko na pewnych *ad hoc* wydzielonych nam terytoryach. Różnica polega tylko na tem, że nie ma tu zastosowanego do nas w całości systemu prohibicyjnego, gdy państwo syna słońca absolutnie zamyka niektóre swe dzielnice dla towarów europejskich. Lecz zato nigdzie też nie korzystamy z zupełnego równouprawnienia, gdyż wytwory rosyjskie nawet na warszawskim rynku są do pewnego stopnia w stosunku do naszych uprzywilejowane. Wobec tego wszakże rynki rosyjskie straciły dziś dla nas znaczenie, które zyskały były na czas pewien. Rosya jest obecnie dla nas krajem obcym i z punktu widzenia interesów naszego gospodarstwa niema żadnej zgoła zasadniczej różnicy między nią a zagranicą.

Nie dość wszakże stwierdzić tylko fakt, należy jeszcze wyraźnie określić konsekwencye, z niego wynikające, przyczem nie tyle powinno nam chodzić o przedmiotowe jego skutki dla naszego rozwoju gospodarczego, co o podmiotowe nasze stanowisko, jakie nam wobec niego zająć wypada. Co prawda, przedstawia się ono dosyć jasno. Jeżeli bowiem Rosya traktuje nas jako obcokrajowców, w takim razie, chcąc nie chcąc, musimy uznać za nasz rynek wewnętrzny jedynie dzielnice polskie, wobec czego, właściwa każdemu narodowi i uznana powszechnie niemal za przewodnią zasadę polityki ekonomicznej, dążność naszej produkcyi do panującej nad obcym przemysłem roli we własnem społeczeństwie powinna się wyrażać nie w ubieganiu się o ekonomiczne zdobycze na całym terenie rosyjskiej monarchii, lecz w pracy nad takiem ukształtowaniem naszych sił gospo-

darczych, aby polska ludność mogła i chciała konsumować przedewszystkiem polskie towary. Kwestya zaś rynków rosyjskich musi zejść na drugi plan, stać się zagadnieniem naszego handlu wywozowego, równocześnem ze sprawą zagranicznego naszego eksportu.

Tak nakazuje, zdawać by się mogło, najprostszy rosądek, i inne traktowanie kwestyi niemożliwem byłoby w jakiemkolwiek cywilizowanem społeczeństwie. A jednak u nas dzieje się wręcz odwrotnie. Co gorsza, należy przyznać, że w obecnym stanie naszego wyrobienia ekonomicznego, nie sposób nawet żądać czegoś podobnego od społeczeństwa. I nie dlatego nawet, by brakowało mu dobrej woli, by jego moralność narodowa zbyt nisko upadła, ale dlatego poprostu, że nie myśli się u nas o tych rzeczach wcale. Tem bardziej wszakże czas jest po temu, byśmy wyraźnie sformułowali i uświadomili sobie, jakie powinny być nasze dążenia ekonomiczne, czego wymaga interes naszej gospodarki narodowej, jakimi rozporządzamy środkami dla dopięcia celów, które sobie nakreślimy, jednem słowem, do czego, i jakiemi drogami winna zdążać nasza polityka ekonomiczna samopomocy, Jasna i szeroko rozpowszechniona w narodzie świadomość dostateczną będzie gwarancyą powodzenia. Gdy tymczasem trwając dalej w roli biernej, której się dotychczas trzymamy, zatracilibyśmy wkrótce wszelką zdolność rozumienia i odczuwania naszych narodowych potrzeb gospodarczych.

S. G.

LISTY WARSZAWIAKA Z GALICYI.

X.

Polityka w życiu galicyjskiem. Jej wszechobecność i wszechwładność. Przyczyny choroby. Konstytucya i życie. Niedojrzałość polityczna społeczeństwa. Brak wyższych aspiracyi. Brak moralności obywatelskiej i prawdziwego patryotyzmu. *Après nous le déluge.*

Webrnąłem tedy w politykę. Zasiadając do pisania tych listow postanowiłem trzymać się jak najdalej od demoralizującej i znieprawiającej umysł sztuki wrzekomego uszczęśliwiania ludzi, — tymczasem nie ominął mię los wszystkich, jacy kiedykolwiek istnieli, korespondentów galicyjskich, i skończyłem na sporach partyjnych. Nic dziwnego, bo polityka jest wszechwładną życia tutejszego panią. Wszystko jej podlega, wszystko do jej widoków się stosuje i od niej odbiera natchnienia.

Weźmy np. w rękę pierwszy lepszy numer jakiejkolwiek gazety tutejszej — w każdym wierszu, w każdej literze polityka. Zdarzy się na ulicy jakiś wypadek, wybije, dajmy na to, kto komu zęby; zdawałoby się, że już z tego kwestyi politycznej zrobić nie można, bo co może mieć wspólnego z polityką wybijanie zębów?... Ba, nie trzeba sądzić zbyt powierzchownie, a galicyjscy dziennikarze umieją brać rzeczy głęboko. Jeden dziennik oswietli fakt, jako wybryk instynktów, pobudzonych agitacyą antyspołeczną żywiołów rozkładowych, inny dojrzy w nim skutków przedwyborczego rozpajania ludności przez klasy rządzące, inny znajdzie jeszcze coś podobnego, dość że bez polityki się nie obejdzie. Te dziedziny życia, które na całym świecie od polityki są wolne, tu zostały przez nią opanowane całkowicie. Trzeba obsadzić katedrę uniwersytecką — nie pytają, co człowiek umie, ale jakie ma przekonania polityczne; trzeba kasyera do instytucyi finansowej — nie pytają kandydata, czy jest trzeźwy i uczciwy, ale czy nie należy do żywiołów opozycyjnych; ktoś szuka kredytu w banku — nie patrzą, czy przedstawia dostateczną porękę majątkową, ale do jakiej partyi należy itd., itd. Wprawdzie skutkiem tego na wielu katedrach uniwersyteckich siedzą nieuki i próżniaki, kasyerzy czasem wynoszą nieswoje pieniądze do tinglów, a banki zawiele wydają pożyczek bezzwrotnych, ale cóż to znaczy wobec interesów partyjnych?...

We wszystkich dziedzinach życia, we wszystkich instytucyach, poczynając od ambony i konfesyonału, a kończąc na szynkwasie karczmarza, wszędzie mieszkaniec Galicyi spotyka się z polityką. Idzie ona za nim krok w krok i niema od niej schronienia ani w domu bożym, ani w ognisku rodzinnem, ani czasami nawet na marach — znany jest bowiem wypadek, że chłopu za przekonania polityczne odmówiono chrześcijańskiego Pogrzebu. politykują tu nawet te sfery, które wszędzie od polityki są wolne, bo nawet kucharki i pokojówki zapraszane są na zgromadzenia polityczne, dla nich specyalnie urządzane, a kto wie, czy przy jakich wyborach nie wystąpi na widownię organizacya polityczna dziadów-żebraków.

Możnaby przypuścić, że mnie, jako człowieka, pochodzącego z dzielnicy, pozbawionej politycznego życia, uderza przedewszystkiem to, czego u nas, po tamtej stronie kordonu niema, że rola, jaką odegrywa polityka w życiu galicyjskiem, jest skutkiem tego, iż kraj wogóle prawa polityczne posiada. Nieprawda. Bywałem w krajach, w których życie polityczne o wiele szerszem, niż w Galicyi, płynie łożyskiem, a nie widziałem tam polityki w wielu dziedzinach życia, w które ona wgryzła się tutaj. Jest tu coś nienormalnego, niezdrowego — to fakt. Idzie tylko o wyjaśnienie sobie źródła choroby i o tem chciałbym parę słów powiedzieć, ostrzegając z góry, że nie mam zamiaru wyczerpywać kwestyi, jeno rzucić parę luźnych myśli.

Galicyę można porównać z niezgrabnym chłopakiem, który idąc po raz pierwszy na większe zebranie towarzyskie, wynajął sobie garnitur, nie na niego skrojony. Skutkiem tego, zamiast się bawić, zamiast używać przyjemności, będącej w danym razie głównym celem, chłopczyna wyłącznie zajęty jest stosunkiem swej osoby do ubrania i męczy się rozmaitemi niewłaciwościami. To go pod pachami pije, to mu kołnierz na uszy włazi, to gors od koszuli tak się zachowuje, jakby się chciał z objęć kamizelki wydostać, a chwilami nawet zdaje mu się, iż część ubrania całkiem opadnie. Ciągle też, czy to tańcząc, czy rozmawiając z kobietami, czy jedząc przy stole, poprawia sobie ubranie i ani na chwilę o niem nie zapomina. Jak ten młodzieniec w pożyczonym garniturze, tak Galicya chodzi w swem prawie politycznem. Niedawno jej dzisiejszą konstytucyę sprawiono, nie na nią skrojono, skutkiem czego na wielu punktach odbywa się przykre tarcie życia o prawo, nie pozwalające ani na chwilę o kwestyach politycznych zapominać. W jednem miejscu prawo gniecie, uciska, w innem jest zaluźne, a na każdym kroku społeczeństwo odczuwa, że jest to prawo cudze, zzewnątrz narzucone, odczuwa, choć nie rozumie dobrze, o co chodzi. Właściwie te narody tylko, które przez wieki całe tworzyły swe konstytucye, jak Anglicy lub Szwajcarzy, są w tem położeniu, że prawo u nich jako tako odpowiada odczuwanej przez społeczeństwo potrzebie, i tam też, o ile można sądzić, polityka mniej ma znamion plagi, wciskającej się we wszystkie dziedziny życia i nad wszystkiem panującej. Ale mało jest krajów, w których paragrafy ustawy zasadniczej pozostają w ta-

kim jak w Galicyi stopniu zimnymi, wyłącznie na papierze spisanymi, paragrafami, szanowanymi przez każdego tyle tylko, ile to dogadza jego interesowi, lub o ile jest on do tego zmuszony.

Niema tu tego, co widzimy w tych krajach, gdzie prawo panujące jest własnym wytworem społeczeństwa, niema tego automatyzmu w spełnianiu czynności obywatelskich zgodnie z prawem, wszędzie jest potrzebny udział świadomej woli, działającej pod wpływem uprzedzeń, interesów, obaw itp. Stąd nieustannie na pierwszy plan występują kwestye, dotyczące wzajemnego stosunku potrzeby społecznej i prawa obowiązującego, i polityka na każdym kroku ciąży na umysłach.

Niemniej ważną przyczyną wdzierania się polityki we wszystkie, najmniej nawet odpowiednie dla niej dziedziny życia, jest wogóle niski stan pojęć politycznych i małe w tym względzie wyrobienie całego społeczeństwa. Lud przeważnie jeszcze ciemny, nie mający elementarnego nawet pojęcia ani o istocie państwa, ani o swych prawach obywatelskich, objawiający dopiero początki zainteresowania dla spraw publicznych, przez długi czas jeszcze będzie zachęcał żywioły stojące przy władzy do łatwych i bezkarnych nadużyć, do pozostawiania paragrafów prawa martwą literą, nie mającą znaczenia w życiu; t. zw. inteligencya, posiadająca niezmiernie mało jednostek niezależnych materyalnie od rządu, pozbawiona wykształcenia politycznego i dobrej politycznej tradycyi — tradycya bowiem polska zanikła w długim okresie panowania absolutyzmu i centralizmu austryackiego — nie okazała się dotychczas zdolną do wytworzenia poważnej opinii, stojącej na straży praw i swobód obywatelskich; rozwielmożniona w kraju biurokracya przechowała jeszcze w ogromnej mierze wstrętne tradycye dawnej biurokracyi austryackiej, która swemi antyspołecznemi cnotami zarobiła sobie na historyczną sławę, podzisdzień traktuje siebie, jako coś odrębnego całkiem od społeczeństwa, oddziela siebie murem od jego pragnień i aspiracyi, po dawnemu czuje w sobie pachołków władzy, stojącej po nad społeczeństwem, od niego niezależnej i z niem sprzeczne interesy mającej, gotowa sobie drwić cynicznie z wszelkich praw obywatelskich, o ile to jej tylko bezkarnie ujść może; ponad tem wszystkiem klasa, a właściwie koterya rządząca, z powierzchownym pokostem obyczajowym, daleka od właściwego społeczeństwom cywilizowanym uzdolnienia do poszanowania godności ludzkiej, nie mogąca się zdobyć na elementarną tolerancyę, znalazłszy się w kadrach nowożytnej organizacyi państwowej, przystosowała się do niej tylko przez zdobycie politycznej techniki, ale nie miała czasu ani warunków na to, by się przejąć duchem nowoczesnego prawa politycznego. Sfery rządzące i bezpośredni na rząd mające wpływ w Galicyi niektórych wiadomości z polityki współczesnej nabyły bardzo prędko, szczególnie łatwo im poszło z przyswojeniem sobie pojęcia, że sprężyną polityki nowoczesnej jest interes osobisty lub klasowy, ale nie nabyły tego, co w polityce najbrutalniejszych interesów jest hamulcem, mianowicie głębokiego poczucia legalności, nakazującego szanować swobody obywatelskie oraz charakter właściwy instytucyi publicznych i bronić ich nawet wtedy, kiedy tego nie wymaga interes. Przy takich pojęciach jedynem prawem, szanowanem bez przymusu, staje się interes partyjny. Panuje on nad wszystkiem i wszystko się na jego rzecz wyzyskuje. Mając do rozporządzenia mnóstwo stanowisk publicznych, korzysta się z tej władzy i obsadza się je ludźmi swoimi, którzy dobrze partyjną służbę pełnią, a usuwa się tych, którzy do innych partyi należą. Każdy to wie, iż większość stanowisk zależnych od rządu w Galicyi zajmują ludzie nieodpowiedni, niezdolni umysłowo lub moralnie, zawdzięczający swą karyerę temu tylko, że się podobali barwą swych przekonań lub zasłużyli brakiem skrupułów w służbie partyjnej. Dotyczy to nietylko władz politycznych, gdzie na wybitne stanowiska są wysuwani często ludzie, bez należytej godności reprezentujący rząd, kompromitujący się brakiem taktu, inteligencyi i nawet niezbędnych zasad moralnych, ale i instytucyi nic wspólnego z polityką nie mających, nawet naukowych, a nawet i kościoła. W części przez naśladownictwo, w części zaś dla wytrzymania konkurencyi, partye półrządowe i opozycyjne robią to samo i wszędzie interes partyjny króluje.

Do rozpolitykowania całego społeczeństwa przyczynia się też niewątpliwie niski jego poziom umysłowy, utrudniający wyrastanie wyższych aspiracyi. Dlaczego tu np. profesor uniwersytetu nie ma ambicyi naukowych, ale marzy o tytule hofrata lub o mandacie do rady państwa? Słabość ludzka w tem właśnie tkwi, że się nic nie robi bezinteresownie, że jeżeli człowiek nie szuka korzyści materyalnej, to żąda przynajmniej uznania w pewnej sferze. Rzadki to człowiek, który sam sobie wystarcza. Otóż w Galicyi niema sfery, mogącej darzyć uznaniem kogoś za pracę naukową, bo tu jest niesłychanie mało ludzi rozumiejących się cokolwiek na naukach i interesujących się ich postępem. Gazeciarze najpoważniejszego uczonego postawią obok pierwszego lepszego idyoty i obu obdarzą jednakowo bezmyślnymi komplementami, co zresztą się nietylko w Galicyi zdarza, ale co już jest specyalnością tutejszą, to że mało kto się pozna na nieuctwie gazeciarza. Nigdzie ludzie uczeni nie mają uznania szerokich mas, ale mają przynajmniej pewną dość liczną sferę, pielęgnującą kult dla nauki, bijącą przed jej kapłanami czołem i umiejącą każdemu, mniej więcej według zasług, przeznaczyć odpowiednie miejsce w hierarchii naukowej. Tu, żeby człowiek jakąś gałęź wiedzy do góry nogami przewrócił, pierwszy lepszy radca nie przestanie nań patrzeć z góry. Więc cóż taki nieszczęsny dygnitarz naukowy ma robić? Stara się zostać większym radcą, niż pierwszy lepszy radca, bo wie, że wtedy będzie mógł na tamtego z góry patrzeć. Tu nawet w gronie profesorskiem nie rozróżniają ludzi według znaczenia w nauce, ale wedle politycznych wpływów i stosunków. Nic tedy dziwnego, że aspiracye naukowe tu nie wyrastają, że giną one w cieniu bujających wysoko ambicyi politycznych i urzędniczych.

To samo z aspiracyami zawodowemi w każdej innej dziedzinie. Dlaczego np. w dziennikach tutejszych wszystko się nagina do celów partyjnych i we wszyskiem dla polityki prawdę się wykoszlawia? Czy nie dlatego w znacznej mierze, że ludzie, zajmujący się tu dziennikarstwem żadnych ambicyi zawodowych nie mają?... Dziennikarz, z natury swego zawodu w blizkich żyjący stosunkach z polityką, ma więcej, niż ktokolwiek inny, sposobności robienia dla niej nadużyć. Hamulcem tu może być uczciwość, poczucie sprawiedliwości, pewien stopień bezstronności, właściwy ludziom cywilizowanym. Obok tego wszakże ogromną rolę gra ambicya zawodowa chęć utrzymania dziennika na pewnej stopie wymagań, dbanie o jego wartość informacyjną i literacką. Otóż tego rodzaju ambicyi dziennikarze tutejsi nie mają, dla celów politycznych okłamują czytelnika, za jego własne pieniądze, w każdym wierszu, a czytelnik, ma się rozu-

mieć, płaci im za to pogardą i lekceważeniem gazeciarskich sądów.

Najwięcej może na to chorobliwe rozpanoszenie się polityki i partyjności we wszystkiem wywiera wpływu uderzający tu brak poczucia solidarności obywatelskiej i prawdziwego patryotyzmu.

Wiele tu się rozprawia o patryotyzmie, o solidarności narodowej, o narodowej pracy, prawie wszystko, cokolwiek się robi w polityce, robi się pod wezwaniem narodu i wrzekomo w narodowym interesie, ale prawdziwy patryotyzm jest tu zjawiskiem niezmiernie rzadkiem. Łatwiej jeszcze spotkać patryotyzm, wykarmiony na literaturze a oderwany od życia, podobny do tego, który mają synowie emigrantów polskich, urodzeni i wychoni na obczyźnie, kochający jakąś Polskę w obłokach, ale niewiele albo też nic wspólnego nie mający z Polską żywą, walczącą dziś o swe istnienie. Kto bliżej poznał społeczństwo galicyjskie, ten ze smutkiem musi zauważyć że niezmiernie tu rzadkie jest głębokie poczucie wspólności ze społeczeństwem, śród którego się żyje i którego się jest członkiem, zdrowe i silne przywiązanie do niego i do jego interesów, zdolność poświęcenia swych osobistych widoków i uprzedzeń dla dobra tego społeczeństwa, wziętego jako całość. Poczucie jedności narodowej, mogące istnieć w całej pełni i istniejące w innych społeczeństwach przy najsilniejszym rozwoju wewnętrznych antagonizmów, poczucie to, które stanowi podstawę wszelkiej bezinteresownej i szerzej pojętej pracy dla przyszłości, tu jest zjawiskiem bardzo rzadkiem. Wpłynął na to przedewszystkiem skład etnograficzny ludności kraju i porozbiorowy okres jego dziejów, który się wcale nie przyczynił do narodowej integracyi, ale wpływał w kierunku przeciwnym. Kraj, w którym na tak małej przestrzeni, żyje tyle narodowości — bo doprawdy nie jest żartem, gdy się mówi, że obok Polaków są tu Rusini, Żydzi, Niemcy, Galicyanie, Austryacy, Moskale i jeszcze parę nacyi — musi się brakiem jedności społecznej odznaczać.

Z drugiej strony, nienormalny przebieg rozwoju politycznego, który nie polegał na stopniowem uobywatelaniu coraz głębszych warstw społeczeństwa w jednym kierunku, ale odbywał się pod działaniem wpływów zewnętrznych, usiłujących wytworzyć wszelkie możliwe chorobliwe zboczenia — dosyć przypomnieć smutnej pamięci rzeź galicyjską — musiał postawić rozmaite warstwy społeczne we wzajemnym stosunku bardzo nie sprzyjającym rozwojowi poczucia solidarności narodowej. Stąd ci, którzy pragną widzieć w Galicyi Polskę, polskie poczucie narodowe i poważny patryotyzm, nie we frazesach na forum, ale we krwi szarego ogółu, mają tu wiele jeszcze, bardzo dużo do roboty. Tu spotykamy objawy tak silnej nienawiści warstwowej, że wobec niej ginie poprostu wszelkie poczucie jedności. Zdarzyło mi się słyszeć od tutejszego szlachcica, człowieka młodego w prywatnem życiu całkiem uczciwego, zdanie, że jeżeli szlachta ma stracić władzę w Galicyi, to mu wszystko jedno, czy przejdzie ona w ręce chłopów, czy też Żydów.

Przy takim braku poczucia jedności społecznej interesy osobiste i partyjne stają się jedynym motywem działalności publicznej i wobec nich ustępują na ostatni plan najważniejsze sprawy narodowe. Dobrobyt mas ich moralność i oświata, naprawa wychowania publicznego, podniesienie stopy umysłowego życia, rozwój instytucyi cywilizacyjnych — wszystko to staje się frazesem pokrywającym polityczne »geszefty«, i o tyle tylko robi się coś dla tych celów, o ile interes partyi tego wymaga. Można przytoczyć mnóstwo przykładów z życia politycznego różnych krajów, gdzie ludzie, prowadzący politykę, cofają się przed całym szeregiem czynów dla ich demoralizującego lub ogłupiającego społeczeństwo wpływu, choć czyny te dla celów partyjnych mogą być bardzo korzystne; Galicya takich przykładów nie dostarczy. W tem właśnie leży niesmaczny, nieszlachetny ton tutejszego życia publicznego i działalności wszystkich bez wyjątku stronnictw, ton, który tak razi nas, przybywających tu z za kordonu.

Ludzie, kierownicze stanowiska zajmujący w rozmaitych życia galicyjskiego dziedzinach, częstokroć robią wrażenie, jakby im obojętną była przyszłość tego kraju i jego mieszkańców, jakby im chodziło wyłącznie o chwilę bieżącą. Cała polityka tutejsza jest tylko załatwianiem drobnych interesów chwili, a wgryzając się we wszystkie dziedziny życia na wszystkiem wyciska piętno pracy bez jutra. *Après nous le déluge* — oto hasło żywiołów przewodnich tutejszego społeczeństwa, hasło, któreby niosło z sobą beznadziejność, gdybyśmy nie mieli wiary w żywotność głębszych warstw społecznych. *R. Skrzycki.*

Z CAŁEJ POLSKI.

Dziennik poznański w roli panegirysty cenzury rosyjskiej. Złodzieje grosza publicznego, jako pionierowie polityki ugodowej. Pośredni sposób walki. Centralny komitet wyborczy na zabór pruski Rozruchy w Schodnicy, jako klucz do zrozumienia właściwego charakteru zaburzeń wyborczych.

Polityka ugodowa w zaborze rosyjskim wpływa na opinię publiczną nietylko za pomocą pism miejscowych, ale również i bodaj gorliwiej za pomocą prasy zakordonowej. Oprócz zupełnie oddanych jej organów — *Czasu* i *Dziennika poznańskiego* — wiele pism w Galicyi i w zaborze pruskim pośrednio, często nawet nieświadomie politykę tę popiera. Nie jest więc ona, jak niektórzy jej zwolennicy twierdzą, wynikiem zmiany stosunków miejscowych, ale jest wielką, zręcznie zorganizowaną »konspiracyą targowicką« na całą Polskę. Świadczy to poniekąd dodatnio o zmyśle praktycznym jej kierowników, jeżeli zrozumieli, że tylko polityka, obejmująca całość spraw narodowych we wszystkich zaborach, polityka ogólno-polska może mieć w społeczeństwie naszem trwałe podstawy. Ale oprócz tego względu inny jeszcze gra w danym wypadku ważną rolę. Pomimo wszystkiego, co głoszą o zwolnieniu cenzury w Warszawie, jest faktem, nie ulegającym wątpliwości, że nawet propaganda ugodowa, jeżeli chce używać argumentów, które trafiałyby do przekonania społeczeństwa, nie może rozwijać się swobodnie pod cenzurą rosyjską i musi dopowiadać w Poznaniu i Krakowie, czego w Warszawie wyrazić jej nie wolno, że więc wbrew swej zasadzie naczelnej wchodzi poniekąd na drogę nielegalną.

Trzeba oddać sprawiedliwość *Dziennikowi poznańskiemu*, że tak jak on gorliwie żadne inne pismo polskie w Galicyi i zaborze pruskim nie zajmuje się sprawami Królestwa. Oprócz korespondencyi politycznych zamieszcza on listy z Warszawy, informujące o tamtejszym ruchu społecznym i literackim, a nawet w każdym numerze »kroniczkę warszawską« i wyjątki z pism miejscowych. Po kilku niefortunnych próbach dodawania do tych wyjątków swoich komentarzy, które wykazały, że redakcya nie ma należytego pojęcia o sto-

sunkach zaboru rosyjskiego, obecnie *Dziennik* dodaje do nich zwykle tego rodzaju dopisek: »powtarzamy to na dowód, o jakich to kwestyach wolno dziś pisać pod cenzurą warszawską«. Podobnych dopisków w ciągu tygodnia znaleźliśmy w *Dzienniku* cztery, a jeden z nich był nawet przyczepiony do panegiryku *Gazety warszawskiej* z powodu przemówienia ks. Imeretyńskiego.

Tymczasem jest to fałsz wierutny i szkodliwy, chociażby z tego względu, że cenzura warszawska może się wobec władzy powoływać na głosy prasy zakordonowej, świadczące o jej łagodności. Przed 15—20, a nawet przed 10 laty prasa warszawska pisała o takich kwestyach i w taki sposób, o jakim dziś myśleć nie może. Zwolnienie cenzury jest niewątpliwe, ale tylko w porównaniu z niezwykłą jej surowością w ciągu kilku lat ostatnich i dotyczy głównie polemiki z pismami rosyjskiemi, która może być nawet dosyć ostrą, jeżeli równocześnie zawiera zapewnienia o naszej lojalności.

Zamiast tej polemiki niepotrzebnej dla czytelników polskich i bezcelowej, bo pisma rosyjskie nie zwracają na nią żadnej uwagi, prasa powinnaby raczej w ten sposób skorzystać z względnego zwolnienia cenzury, żeby zajęła się gorliwiej sprawami społecznemi i administracyjnemi.

Zajęli się niemi po swojemu ugodowcy, którzy przygotowując grunt dla fundacyi na uczczenie cara, dowodzą, jak np. *Słowo*, że najpilniejszą sprawą społeczną w Królestwie jest zapobieżenie nędzy, zwłaszcza zaś zapewnienie starcom i niedołężnym kalekom »jako tako znośnych warunków bytu«. Prus, zjednany przez ugodowców, rozpisuje się o doniosłem znaczeniu miłosierdzia, chociaż sam w ciągu swej 25-letniej działalności publicystycznej powstawał wymownie przeciw filantropijnemu charakterowi działalności społecznej i dowodził, że najpierwszym obowiązkiem jest dostarczenie i ułatwienie pracy zdrowym i silnym.

»Opieka nad nędzą jest najmądrzejszą polityką socyalną« woła *Słowo* i zapewnia, że ofiarność w tym wypadku będzie wyrazem naszej siły (?) i naszego uspołecznienia, będzie dowodem myśli publicznej, miarą solidarności narodowej«.. Żydów, Niemców i kliki ugodowców, chociaż pragnęłoby, żeby »w tym akcie społecznej samowiedzy i samopomocy wzięło udział całe społeczeństwo«. Ponieważ prasa warszawska nie komentowała i zapewne nie może komentować w *Słowie* cyfr i faktów poprzedzających te frazesy, pozwolę sobie wyręczyć ją w pewnej mierze. Dla wykazania, że dotychczasowa opieka nad starcami i kalekami jest niedostateczną, dziennik ugodowy powołuje się na przykład Paryża, gdzie 5000 tej kategoryi biedaków znajduje przytułek w 2 wielkich zakładach dobroczynnych. Ale i w Warszawie przecie 876 starców i kalek ma przytułek zapewniony, co w porównaniu z ludnością Paryża daje mniej więcej ten sam odsetek. Zresztą, przyznawszy nawet, że dotychczasowa opieka nad ubogimi starcami i kalekami jest niewystarczającą, należałoby się zapytać: dlaczego tak się dzieje? Z tych funduszów, którymi rozporządzają nasze instytucye dobroczynne, możnaby niewątpliwie więcej nędzarzy utrzymać P. Górski, jako prezes Towarzystwa osad rolnych i inni nasi ugodowcy znają przecie doskonale *arcana* gospodarki funduszami publicznymi, wiedzą o wykrywanem i tolerowanem »uprywatnieniu« funduszów publicznych. Gdyby książę Michał Radziwiłł, w charakterze prezesa Towarzystwa dobroczynności zamiast wyławiać w czytelniach bezpłatnych nielojalne chociaż cenzurowane książki, za co pułkownik żandarmów Markgrafskij, widocznie poinformowany przez niego, publicznie go chwali, gdyby ten dobrowolny »współpracownik policyi«, jak wyrażają się Niemcy, zajął się zbadaniem gospodarki instytucyi, na której czele stoi, znalazłyby się zapewne fundusze za zapomogi dla wielu starców i kalek. Sam znałem damę, pobierającą stałą zapomogę od Towarzystwa dobroczynności, która zajmowała mieszkanie złożone z 3 pokoi z kuchnią, i wydawała wieczorki tańcujące dla swoich zdrowych, jak łanie, córeczek. Każdy Warszawiak rodowity może podobnych przykładów sporo wyliczyć.

Ta nietylko dowolność w szafowaniu groszem publicznym, ale nawet zwyczajna kradzież, bo innego wyrazu użyć nie mogę — nie jest wcale objawem rzadkim w instytucyach dobroczynnych warszawskich. Niektórzy widzą w niej pierwsze oznaki oddziaływania społeczeństwa rosyjskiego na polskie, chociaż Moskale kradną odrazu wielką sumę, nasi zaś systematycznie i małemi dawkami przywłaszczają sobie fundusze publiczne. Ci złodzieje, chcąc zapewnić sobie pobłażliwość władzy rosyjskiej, byli pionerami polityki ugodowej, pojętej praktycznie, zwolennikami wzajemnego zbliżania się dwóch społeczeństw. Dzięki temu złodziejstwo uchodziło im i uchodzi bezkarnie, próby wyświetlenia nadużyć zazwyczaj w samym początku powstrzymywała cenzura. Władza zaś, o ile nie brała udziału bezpośredniego w nadużyciach, godziła się z pułkownikiem żandarmskim Małychinem, który, informując się kiedyś w tego rodzaju sprawie, wyraził zdanie, że grosz publiczny jest jak kromka chleba z masłem, jeżeli ją chociażby najostrożniej weźmiemy do ręki, zawsze coś masła przylgnie. »*Pomiłujtie*, perswadował pewnemu redaktorowi cenzor, oni mają w rozporządzeniu swem miliony, jeżeli więc kilkadziesiąt tysięcy na rok ukradną, to inaczej być nie może«.

Do niedawna mogliśmy chlubić się swoją uczciwością, dziś jednak przywłaszczanie funduszów publicznych i prywatnych zdarza się u nas równie często, jak gdzieindziej. Jest to naturalnie następstwo wzrostu kapitalizmu, którego strony ujemne łączą się u nas z resztkami pobłażliwości patryarchalnej.

Istnieje, jak wiadomo, w Warszawie dosyć zwarta kilka ludzi, która opanowała wszystkie niemal instytucye publiczne. Niektórzy należą do niej dla pozyskania wpływów i zadowolenia swej ambicyi i próżności, drudzy i dla tych powodów i w dodatku jeszcze dla zysku. Ta klika stanowi właśnie sztab główny stronictwa ugodowego. Krytykując jej gospodarkę, wykazując nadużycia, które popełniają lub tolerują jej członkowie, osłabia się zarazem wpływ polityczny i powagę stronnictwa. Wykrycie nadużyć w Towarzystwie osad rolnych podkopało trochę powagę kilku wybitniejszych ugodowców, a mogło ją zachwiać zupełnie, gdyby znalazło się bodaj jedno pismo w Warszawie, któreby uogólniło i zarazem wyżej, we właściwy punkt skierowało zarzuty. Taki pośredni sposób prowadzenia walki politycznej bardzo jest skuteczny, ale musi być energiczniej niż dotychczas stosowany. Był czas, że *Kraj*, który obecnie zdobył sobie znowu stanowisko wpływowe, utracił znaczną część powagi i prenumeratorów wskutek systematycznie prowadzonej przeciw niemu kampanii w kilku pismach warszawskich. Nie mogąc atakować przeciwnika z czoła, t. j występować zasadniczo przeciw polityce ugodowej, należy szarpać go walką podjazdową, napadając na najsłabsze stanowiska...

Wybór ks. Wolszlegra, zdaniem pism niemieckich niewątpliwie będzie unieważniony, tem bardziej więc

zająć się trzeba pilnie naprawą wadliwej organizacyi wyborczej w Prusiech Zachodnich i wogóle w zaborze pruskim. Z okręgu, który wybrał tego posła i w którym bardzo mało już jest szlachty i wogóle inteligencyi polskiej, wyjść powinien przykład samodzielnej organizacyi wyborców, t. j. ludu polskiego. Pisaliśmy już o tej sprawie dosyć, ale jest ona tak ważną i tak dla stosunków społecznych i politycznych zaboru pruskiego znamienną, że raz jeszcze wrócę do niej. Nawet te pisma, które do chwili wyborów przeciw wszelkiej agitacyi występowały, po wyborach dowodzą, że zmiana dotychczasowego sposobu postępowania jest konieczną, że trzeba zaprawiać lud do samoistnego działania, że nie można zostawiać go pod dyktaturą garści szlachty i komitetów bezimiennych. Nawet ze względów praktycznych reforma jest konieczną. Okazało się np. że nie było pieniędzy na agitacyę przedwyborczą, że z powodu braku funduszów zamiast dziesiątków tysięcy rozesłano zaledwie kilkaset odezw. Z tego wynika, że cały »ciężar pracy obywatelskiej« przewodników społeczeństwa polega na narzucaniu wyborcom kandydata, bo ani pieniędzy nie dają, ani agitacyi nie prowadzą.

Goniec wielkopolski z powodu przebiegu wyborów w okręgu starogardzko tczewsko-kościerskim i ujawnionego braku pieniędzy na agitacyę, przypomina swój projekt utworzenia centralnego komitetu wyborczego. Taki komitet centralny powinien, zdaniem *Gońca* — kierować wyborami nietylko w Poznańskiem i w Prusiech Zachodnich, ale również na Warmii i na Śląsku, a nawet wszędzie tam, gdzie Polacy znajdują się w większej liczbie. Ma się rozumieć, musiałby on mieć do rozporządzenia specyalny fundusz wyborczy, który należy zbierać zawczasu, nie zaś w ostatniej chwili. Niewątpliwie, powstanie takiego komitetu, takiej organizacyi wyborczej byłoby dla zaboru pruskiego faktem doniosłym. Taki komitet, to po prostu legalnie istniejący rząd narodowy, któryby kierował całą niemal akcyą polityczną. Ale dlatego właśnie jest on niemożliwym dziś i w bliskiej przyszłości, a to z dwóch względów, z których jeden jest formalnym, drugi zasadniczym Komitet centralny muszą wybierać komitety miejscowe, które nie mają należytej powagi, których organizacya jest wadliwą, które w wielu okolicach nie istnieją wcale. Z trzech powiatów, które ks. Wolszlegra wybrały, jeden tylko — starogardzki — ma do niedawna bezimienny, a teraz ujawniony komitet. Działalność komitetu centralnego opierać by się musiała na organizacyach miejscowych, trzeba więc przedewszystkiem myśleć o wytworzeniu ich i zreformowaniu. Powtóre, komitet centralny powinien być możliwie jednolitym. Dziś i w bliskiej przyszłości, wobec zaostrzenia się przeciwieństw politycznych i poniekąd społecznych, wytworzenie takiej naczelnej a jednolitej organizacyi jest niepodobieństwem. Nawet w Kole, raczej w Kołach polskich w Berlinie, pomimo pozornej teraz zgody istnieją znaczne różnice polityczne, a w opinii publicznej są one jeszcze większe. Komitet centralny niewątpliwie składałby się przeważnie z ludzi, których przekonania polityczne nie odpowiadają przekonaniom większości społeczeństwa, z jawnych lub ukrytych, bezwzględnych lub połowicznych zwolenników polityki ugodowej. Stronnictwa i kierunki opinii, wywalczające sobie dopiero uznanie, musiałyby w nim uledz przewadze i powadze stańczyków poznańskich. Nowe prądy, które sobie torują drogę, nie mogą nigdy poddawać się zorganizowanemu kierownictwu, złożonemu z przedstawicieli różnych opinii, bo jeżeli to uczynią, stracą swoją odrębność, a więc wartość swoją, jako czynnika rozwoju politycznego. Dlatego ani stronnictwo ludowe w Galicyi, ani t. zw. ruch ludowy w zaborze pruskim nie poddadzą się władzy komitetów centralnych, dopóty przynajmniej, dopóki nie wywalczą sobie równouprawnionego stanowiska z innymi odłamami opinii publicznej i organizacyami partyjnemi.

Sposób uśmierzania sk erowanych przeciw Żydom rozruchów robotniczych w Schodnicy daje nam klucz do wyjaśnienia sądzonych teraz właśnie spraw o zakłócenie spokoju publicznego, opór władzy i inne występki, dokonane podczas niedawnych wyborów. O rozruchach w Schodnicy, które dla bezstronnych, może nawet zbyt surowych dla takich objawów samoobrony pism poznańskich są »wynikiem niepojętej samowoli władz miejscowych i ciągłego drażnienia ludności chrześcijańskiej« — mówić nie będę. Zaznaczę tylko podobieństwo ich do zaburzeń chodorowskich. W obu wypadkach bezpośrednią przyczyną zaburzeń było brutalne i wyzywające zachowanie się Żydów wobec robotników polskich, w obu wypadkach, chociaż działo się to na Rusi, główną rolę odegrali Mazurzy, którzy nie pozwolą ani tak wyzyskiwać się, ani tak poniewierać sobą, jak potulni Rusini.

Korespondent *Słowa polskiego*, pisma, które ani o radykalizm, ani o antysemityzm posądzone być nie może, zaznacza wyraźnie, że policyanci i żandarmi działali do spółki z Żydami i dopuszczali się krzyczących nadużyć. Policya, zależna od rady gminnej, w której Żydzi mają większość, była powolnem w ich ręku narzędziem.

»Mamy nawet w ręku dowody, że za guldena, wsuniętego w rękę »władzy«, można było aresztować pierwszego lepszego robotnika, którego się jej wskazało. A że, jak wiadomo, żydzi umieją być wdzięczni, a są nietylko właścicielami rady gminnej, ale i propinacyi, przeto »władze« nasze »urzędowały« zbyt często w stanie niepoczytalnym«.

»Że podobne stosunki — pisze dalej — musiały wywołać ogromne rozdrażnienie wśród kilkutysięcznej ludności roboczej, temu dziwić się trudno. Nie uśmierzyły go oczywiście krwawe wypadki świąteczne, a już najmniej aresztowania w sposób przypominający znane obławy na psy: żandarmi i policyanci idą ławą przez ulice i zabierają bez wyboru każdego spotkanego robotnika, nie pytając, czy winny, czy niewinny, albo zabierają ich z domów, które im się na oko nie podobają, albo z szybów od roboty i pędzą skutych do Drohobycza, skąd powrócą po kilku tygodniach lub miesiącach uwolnieni wprawdzie, ale na to, aby zastać miejsca swe zajęte przez innych, a rodziny w ostatniej nędzy«.

Opis tych aresztowań jakby żywcem wyjęty z opowiadań świadków o zaburzeniach przedwyborczych w Stojańcach, Skolem, Czerniejowie i t. d.

»Pod ochroną żandarma« Żydzi wdarli się do szybu p. Malczewskiego i niemiłosiernie zbili tam palacza, »którego następnie żandarm aresztował«. Ten sam czy inny żandarm przebił bagnetem robotnika Kukalskiego.

»Rzeźnicy napadli bez przyczyny chłopa Rusina jadącego drogą, zwlekli go z wozu i poturbowali. Pokrzywdzony nie znalazł posłuchu ani u policyi, ani u żandarmeryi i dopiero gdy rzecz doszła do przypadkiem bawiącego tu starosty, radcy Świtalskiego, kazał on winnego Żyda aresztować ku ogólnej sensacyi i zdu-

*

mieniu jego współwyznawców, którzy się już zupełnie utożsamili z władzą państwową«.

Otóż i podczas wyborów Żydzi »utożsamili się zupełnie z władzą państwową«. Okazało się przecie na sądzie, że Żyd Margules dał żandarmowi kartkę z nazwiskami ludzi, których trzeba aresztować.

Niewątpliwie przyczyną rozruchów podczas wyborów był i niewłaściwy, a nawet czasem występny sposób agitacyi i nadużycia lub nietakt urzędników, ale i Żydzi mieli niepośledni udział w tej sprawie. Ma się rozumieć, wtedy *Słowo polskie* i inne zachowawcze lub liberalne pisma nie oburzały się na Żydów, nie gorszyły się działaniem do spółki z nimi policyi i żandarmów — bo chodziło o przeprowadzenie wyboru t. zw. kandydatów narodowych.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa, 23 czerwca.

Jeszcze wizyta sierpniowa. Dwie subskrypcye. Car i naród. Komu są potrzebne manifestacye lojalne? Możliwe ich skutki. Ugodowcy i lud. Zmiany osobiste. Apuchtin na stanowisku.

Przyjazd Mikołaja II. do Warszawy i sprawa przyjęcia cara przez stolicę Polski tyle już kosztuje nas papieru i atramentu, że jest pewnego rodzaju marnotrawstwem jeszcze o tem pisać. Z drugiej wszakże strony tyle ta sprawa zajmuje uwagi tutejszego społeczeństwa i tyle się z nią wiąże kwestyi żywotnych, że korespondent warszawski milczeć o niej nie może, choć wie z góry, że czytelnik na widok samego nagłówka korespondencyi już doznaje uczucia przesytu.

Faktycznie dwie tylko sprawy stoją na porządku dziennym naszego życia publicznego: pomnik Mickiewicza i przyjęcie cara w Warszawie. Pracują dwa komitety, mickiewiczowski i mikołajewski, zbierane są dwie subskrypcye, i każdy widzi, że pomiędzy temi dwiema sprawami istnieje pewien związek, pewien stosunek stały, mający głębsze znaczenie. W chwili gdy komitet mikołajewski lekceważy sobie opinię i „w imieniu całego narodu“ przygotowuje dar dla cara, pomnik Mickiewicza odgrywa niejako rolę piorunochronu, wywołane bowiem przez forsowną akcyę ugodową niezadowolenie społeczeństwa, któreby się mogło wyrazić w sposób niezbyt dla naszych lojalistów przyjemny, jest paraliżowane przez zajęcie się pomnikiem. Władza, pozwalając na pomnik, świadomie czy nieświadomie zrobiła krok bardzo polityczny: przeciwnicy akcyi ugodowej i „narodowych“ dla cara prezentów, prawdopodobnie postaraliby się o to, żeby czynom komitetu »mikołajewskiego« odebrać pozory kredytu moralnego u społeczeństwa, możebyśmy mieli z rozmaitych stron protesty, możeby cara powitano szeregiem skarg na dziejące się społeczeństwu krzywdy; tymczasem, pomnik Mickiewicza tak zajął społeczeństwo, że na razie o żadnej innej akcyi na szerszą skalę mowy być nie może. Ugodowcy więc, którzy szemrzą, że składki na pomnik zmniejszają powodzenie ich subskrypcyi, powinni być zadowoleni, że mają piorunochron, pod którego osłoną mogą prowadzić swą robotę. Swoją drogą, dobrze zrobią, jeżeli w swem lojalnem uniesieniu będą się nieco hamowali, jeżeli zadaleko się nie posuną w owacyach dla cara, bo, choć dzisiaj niema w społeczeństwie nastroju do czynów bardzo radykalnych i choć policya jest najwierniejszą lojalnej działalności osłoną, wszelkie przeciągnięcie w takich rażach struny opłaca się zbyt kosztownie. Zapędzając się zadaleko w chęci przekonania władz o lojalnem usposobieniu społeczeństwa, można wywołać ze strony społeczeństwa objawy reakcyi, które będą miały skutek wręcz przeciwny.

Biorąc rzecz objektywnie i nie naciągając faktów do względów partyjnych, trzeba przyznać, że ogół społeczeństwa zajmuje wobec rozdymanej do znaczenia faktu epokowego sierpniowej wizyty carskiej, stanowisko całkiem obojętne. To, co ograniczeni umysłowo lub przewrotni dziennikarze wypisują za kordonem o głębokiej przemianie pojęć politycznych naszego społeczeństwa, o zwrocie w kierunku lojalnym itd. jest wierutnem kłamstwem. Społeczeństwo, jako masa, pozostało tem, czem było — nie było ono dotychczas bardzo rewolucyjnem i nie jest niem dziś, ale również mu są obce sympatye dla Rosyi i uczucia wiernopoddańcze, których nigdy nie miało. Te drobne zmiany w sposobie postępowania władz, o których dotychczas może być mowa, żadnego prawie na szerszych warstwach wrażenia nie wywarły, raz dla tego, że są dla szerszego ogółu niedostrzegalne, system bowiem rządów i zasady jego przewodnie pozostały te same, powtóre dlatego, że społeczeństwo nasze zbyt długo, pod wpływem ciężkich doświadczeń, umacniało się w nienawiści i wyrabiało sobie przekonanie, iż Rosya jest nieprzejednanym naszym wrogiem, ażeby łatwo mogło to przekonanie zmienić. Kilku szachrajów politycznych i kilkudziesięciu błaznów bezmyślnych w ich otoczeniu, nie stanowią opinii, jak jej nie stanowią żywioły nienarodowe, związane interesami z rządem. Ugodowcy, albo jak oni siebie nazywają »stronnictwo lojalne«, i dawniej byli w Polsce. Dowodem pomnik na Saskim placu, postawiony przez Mikołaja I »Polakom«, którzy zostali wiernymi swemu monarsze« w dniu wybuchu powstania listopadowego. Ugodowy ten pomnik przewędruje na plac Zielony, ustępując miejsca olbrzymiemu soborowi, pomnikowi prawosławnej Rosyi, którego mury już dosięgły wysokości trzech pięter. Wędrówka ta jest symboliczna. Jak mikołajewski obelisk »lojalnych Polaków« zrobił miejsce soborowi w środku Warszawy, tak nasza polityka lojalna, nasze komitety mikołajewskie przygotowują serca polskie do przyjęcia moskiewszczyzny. O pomniku na Saskim placu i o uhonorowanych nim ugodowcach ludek warszawski w niezbyt wytwornej formie rymowanej powiada:

»Ośmiu lwów i czterech ptaków
»Tu pilnują tych łajdaków«.

Co *vox populi* powie o obecnych Polakach »wiernych swemu monarsze«, to przyszłość pokaże.

Wracając do wizyty młodego cara, to ze strony Mikołaja II nie jest ona żadnym aktem nadzwyczajnym. Był przecie w Warszawie i Aleksander III po wstąpieniu na tron.

Obecny car miał już w roku zeszłym sposobność odwiedzenia naszej stolicy, gdy, przejeżdżając zagranicę i z powrotem, zatrzymywał się na dworcu na Pelcowiźnie dla przestawienia pociągu z jednego toru na drugi. Nie zrobił tego, niewiadomo, dlaczego: czy się obawiał, czy chciał nam okazać, że zabardzo mu o nas nie chodzi. Obecnie także, tylko wstąpi do Warszawy po drodze, w przejeździe do myśliwskiej rezydencyi w Spale, a więc wizyta nie ma wcale charakteru specyalnych odwiedzin. Z tej więc strony fakt nie przedstawia nic szczególnego. Przyjęcie cara i zachowanie się społeczeństwa, gdyby nie zapędy panów Górskich, także niczem szczególnem by się nie odznaczyło. Mikołaj II przejechałby sobie przez Warszawę spokojnie, jak przejeżdżał jego ojciec, policya by się przez parę dni napracowała, gromady żydków na rogach ulic krzyczałyby „*ura!*“ i przyzwoitości urzędowej stałoby się zadość...

Społeczeństwo polskie dla osoby młodego »samowładcy wszechrosyi« ani miłości, ani szczególnej nienawiśc-

nie żywi. Co on winien, że się urodził synem Aleksandra III i że, jako jego następca, musi rządzić państwem, w którem nam wypadła rola »wrogów wewnętrznych«, jak opiewa urzędowe mianownictwo, i w którem rząd podobno musi pracować nad asymilacyą Polaków, bo od tej asymilacyi ma szczęście Rosyi zależeć?... Dalecy jesteśmy od wszelkiej personifikacyi rządów, od szukania źródła wszystkich naszych nieszczęść, całego trapiącego nas ucisku, w osobistych chęciach panującego Z drugiej strony osoba cara jest dla nas właściwie mitem. Nic nie wiemy o nim pewnego i choćbyśmy wiedzieli, to wiadomości te na nasze stanowisko wobec niego wpłynąć nie mogą. Dla nas Mikołaj II jest przedstawicielem państwa, tego państwa, które nas trzyma w szponach i wszelkimi sposobami stara się przełknąć i starać się ciągle będzie, choć może nas mniej szarpać kłami, gdy pozna bezskuteczność tej metody, a więcej lizać będzie, jak wąż boa, który dla połknięcia musi swą ofiarę dobrze oślinić. Jako przedstawiciel Rosyi, Mikołaj II. nie może liczyć u nas na gorące przyjęcie i nie spotka go ono nigdy — sądzić nawet należy, iż ani on sam, ani ministrowie jego co do tego się nie łudzą. Gdyby było możliwe wytworzenie sztucznego entuzyazmu, to także nie jest ono nam potrzebne, ani nie może być pożyteczne. Mogłoby się ono, jak wszelkie sztuczne objawy, przyczynić co najwyżej do wytworzenia jeszcze większego chaosu w naszych pojęciach politycznych, niż ten, który dziś istnieje, zdemoralizowałoby pewną część społeczeństwa, a rządowi rosyjskiemu dałoby dla krytyków z zewnątrz argument na poparcie twierdzenia, że jesteśmy zadowoleni ze swego losu. Argumenty takie bywają nawet i w stosunkach wewnętrznych korzystne. Przecie za czasów Hurki znaczna część rosyjskiego społeczeństwa dowiedziała się dopiero wtedy, że Polacy są niezadowoleni z polityki dzisiejszego feldmarszałka, kiedy gazety doniosły o manifestacyi Trzeciego Maja oraz o oblewaniu kwasem siarczanym publiczności z przedstawień rosyjskich w Teatrze Wielkim.

Żadnego pożytku dla społeczeństwa z manifestacyi wiernopoddańczych być nie może, bo polityka rządu rosyjskiego w kwestyi polskiej zbyt głębokie ma podstawy i zbyt świadoma jest swych celów, ażeby mogła zależeć od tego, czy Polacy zdołają zebrać pół miliona rubli na instytucyę imienia carskiego, czy też zatrzymają te pieniądze w kieszeniach.

Jeżeli wszakże mówimy, że nam, jako narodowi, tego rodzaju manifestacye są niepotrzebne, jeżeli widzimy w nich z wielu względów dużą dla społeczeństwa szkodę, to nie dowód, żeby nie były one nikomu potrzebne.

Każdy rozumny rząd stara się panować z pozorami przyzwoitości. Dlatego to się nakazuje wszelkie t. zw. dobrowolne deputacye włościan, składki na pomnik dla cara lub na obrazy do cerkwi i t. d. Jeżeli ktoś chce zrobić tego rodzaju rzecz nie z wyraźnego nakazu, ale naprawdę dobrowolnie, to rządowi jest to na rękę i pobudza go do pewnej za dobrowolną usługę zapłaty. Czasami taka zapłata udzielona starym zwyczajem »co łaska«, bywa nawet dość duża, na to liczą niewątpliwie inicyatorowie daru dla Mikołaja II. O tych panach nie można powiedzieć, że się niczego nie nauczyli. Coraz lepiej rozumieją oni, że im, jako przedstawicielom danej klasy społecznej, opieka i życzliwość rządu jest bardzo potrzebna. Wiedzą, iż rząd, zajmujący wrogie stanowisko względem naszych interesów narodowych, tej opieki będzie im mógł udzielić, bo ich interesy klasowe nic wspólnego z interesami narodowymi nie mają.

Trzeba raz zrozumieć, że przyjęcie Mikołaja II w Warszawie i wszelkie wyrazy uczuć wiernopoddańczych, jakie mu mogą towarzyszyć, nie będzie manifestacyą ze strony społeczeństwa polskiego, ale wystąpieniem sfer kapitalistycznych i reakcyjnych, ofiarujących rządowi pewne usługi oraz spodziewających się za to zostać żywiołem »pewnym« i zasługującym na opiekę. Organ petersburskich stańczyków, *Kraj*, mówiąc, o życzliwem przyjęciu, jakiego doznaje od szlachty ks. Imeretyński w swych podróżach po Królestwie, robi uwagę skromną, iż ziemiaństwo nasze przedstawia dobry materyał na stronnictwo umiarkowane (czytaj — rządowe). W tej uwadze wyraźnie się wypowiadają klasowe aspiracye części »polskiego ziemiaństwa«.

Jak powiedzieliśmy, rząd tylko z radością może powitać ten objaw dojrzałości cynizmu politycznego w naszych klasach posiadających, acz byłoby mu niewątpliwie jeszcze przyjemniej, gdyby lojalna agitacya ugodowców wpłynęła i na inne klasy, zwłaszcza na lud. Widoki na to wszakże są więcej niż skromne. Propaganda lojalizmu może garstkę ludzi zdemoralizować, ale mas nie obejmie. Część ludu naszego jest już uświadomiona narodowo i tyle oświecona, że pojmuje w ogólnych rysach nasz stosunek do Rosyi, że z drugiej strony skutkiem społecznego uświadomienia nie pójdzie na pasku wrogiej interesom ludowym warstwy społecznej.

Pozostała większość jest wprawdzie tak jeszcze ciemna, że mogłaby pod wpływem agitacyi pójść w kierunku najbardziej dla siebie niewłaściwym. Trzebaby tylko, żeby agitacya wychodziła ze źródła, do którego lud ma zaufanie, prowadzili ją w swoim czasie agenci rządowi i po dziś dzień jeszcze prowadzą, ale ci coraz bardziej tracą kredyt; mogłoby ją wziąć w swoje ręce »umiarkowane ziemiaństwo«, gdyby nie to, że chłop ma od dawna do »panów« instynktowną nieufność i że uczucie to sami ajenci rządowi starali się rozdmuchać w jak najsilniejszą nienawiść. Jeżeli tedy rząd zechce szlachty użyć do wzmacniania uczuć wiernopoddańczych w ludzie, to musi teraz starać się o wzburzenie w tym ludzie zaufania do lojalnych szlachciców, musi zatem zacząć odrabianie tej roboty, którą dotychczas robił. Kto wie, czy nie przyjdzie chwila, że rząd mocno żałować będzie tej agitacyi socyalistycznie nastrojonych komisarzy włościańskich, którą uznawano w swoim czasie za jeden z najwspanialszych wynalazków polityki rosyjskiej. Zresztą już dziś spotyka się Rosyan, którzy rozumieją, że był to błąd ogromny.

Wracając do spraw bieżących, trzeba zanotować nie pozbawione znaczenia i zdecydowane już ustąpienie ze stanowiska naczelnika kancelaryi generał-gubernatora, p. Lwowa. Młody ten urzędnik ukazał się na widnokręgu warszawskim w ślad za hr. Szuwałowem, pod którym służył w berlińskiej ambasadzie. Z początku został warszawskim wicegubernatorem, a potem już za ks. Imeretyńskiego przeszedł na wpływowe stanowisko naczelnika kancelaryi generał-gubernatora. Należąc do arystokracyi rosyjskiej i uważany w jej obozie za jedną z sił lepszych, reprezentuje on przyzwoitszy w stosunku do Polaków kierunek. W Warszawie można go było uważać za większego od innych Rosyan zwolennika pojednania. Ustąpienie jego i przejście do dyplomacyi z powrotem może być w związku z poglądami władz wyższych na nasze stosunki. Kto wie, czy tam nie uważają, że już za wiele Polakom pofolgowano. Jednocześnie mówią tu o przewidywanem przejściu ks. Imeretyńskiego na stanowisko ministra wojny.

Na zakończenie wiadomość nietyle ważna, ile sensacyjna. Apuchtin ma stanowisko w Warszawie, wprawdzie mniej wpływowe, niż kuratora okręgu naukowego, ale zawsze stanowisko. »Rosyjskie towarzystwo dobroczynności w Królestwie polskiem,« mało komu pewni znane ze słyszenia, wybrało go swoim prezesem na rok bieżący

***

EGZAMINA W SEMINARYACH KATOLICKICH.

Gdybyśmy spytali pierwszego lepszego »ugodowca«, co jest dla nas ważniejsze, czy otrzymanie samorządu miejskiego i ziemskiego, czy zachowanie naszego kościoła od rusyfikacyi, to wątpić należy, czyby się oświadczył za pierwszem. A swoją drogą, wszyscy ci panowie zgodnie opiewają »nowy kurs« i »lepsze dla Polaków czasy« w zaborze rosyjskim, dlatego że im zrobiono nadzieję wprowadzenią »ziemstw«, choć właśnie w chwili obecnej zrobiono pierwszy krok na drodze rusyfikacyi kościoła katolickiego w Królestwie (bo na Litwie i Rusi sporo już w tym względzie zrobiono). Stolica apostolska zgodziła się ostatecznie na to, czemu się przez tak długi czas opierało nasze duchowieństwo i w czem widziano poważny zamach na polskość naszego kościoła, mianowicie pozwolono, wbrew postanowieniom soboru trydenckiego, na to, ażeby na egzaminach w seminaryach duchownych byli obecni przedstawiciele władzy rządowej, którzy w danym razie mają sprawdzać, czy alumnowie w dostatecznej mierze zdobywają w seminaryach znajomość języka rosyjskiego.

Tegorocznym egzaminom w seminaryach już towarzyszą wszędzie delegaci z ramienia rządu. W seminaryum metropolitalnem warszawskiem, wobec arcybiskupa Popiela, egzaminowali alumnów z języka rosyjskiego pp. Rudienskij, inspektor okręgowy, b. dyrektor gimnazyum praskiego, jeden z najcyniczniejszych *„obrusitieli“*, oraz gubernator warszawski Martynow. Panowie ci podobno bardzo byli niezadowoleni z rezultatów. Ze wszystkich alumnów jeden tylko, ich zdaniem, odpowiadał dobrze i uzyskał uznanie obu przedstawicieli rządu. Zdarzył się przytem zabawny epizod, gubernator bowiem, zachowujący stylową naiwność biurokraty moskiewskiego, wyraził przekonanie, iż alumn swą znajomość języka rosyjskiego zawdzięczać musi temu, że wiele ze swymi rodzinami mówił w domu po moskiewsku (!), i miał mu ochotę udzielić za to publicznej pochwały. Okazało się wszakże, iż przyczyna »wyższości« alumna nad kolegami leżała w tem, że skończył on całe gimnazyum rządowe, czyli osiem klas, gdy inni mieli ich po sześć albo ledwie po cztery (według przepisu, kandydat do seminaryum duchownego musi mieć ukończone przynajmniej cztery klasy).

Okazuje się tedy, iż przedstawiciele rządu wymagają od kończącego seminaryum alumna wykazania się taką znajomością języka państwowego, jaką posiada maturzysta, kończący gimnazyum rządowe. Ponieważ zaś w gimnazyum rezultat ten osiąga się tylko niesłychanem nadużyciem, mianowicie tem, że uczniowie przez ostatnie dwa lata prawie niczego po za językiem rosyjskim się nie uczą, więc widocznie chcianoby, ażeby seminarya duchowne zamieniły się w takie same warsztaty rusyfikacyjne, jak gimnazya.

Wprowadzenie przedstawicieli rządowych na egzamina do seminaryów — to dopiero pierwszy krok. Gdy panowie ci złożą sprawozdania przed władzą, z tego co zauważyli, rząd niewątpliwie zaproponuje »pewne środki, prowadzące do wzmocnienia znajomości języka rosyjskiego« śród duchowieństwa polskiego. Stolica apostolska znów się zgodzi, a prasa polska, robiąca politykę »narodową«, w dalszym ciągu będzie milczała o tem, rozpisując się natomiast obszernie o zaletach księcia Imeretyńskiego i o tem, jak to on uprzejmie klepie ludzi po ramieniu.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

TOWARZYSTWA POLSKIE I POLICYA PRUSKA.

Jakkolwiek nowe prawo o stowarzyszeniach nie przeszło i pomimo nacisku izby panów, która odrzucone przez izbę deputowanych artykuły przywróciła, nie przejdzie w sejmie pruskim — policya, korzystając z władzy, jaką posiada, coraz bardziej ogranicza towarzystwa polskie.

Koło śpiewackie w Ostrowie chciało urządzić zabawę, na którą mieli przybyć zaproszeni z Kalisza goście. Tymczasem landrat zakazał urządzenia zabawy ludowej przez Towarzystwo, chociaż restauratorowi w Szczygliczce, gdzie się właśnie odbyć miała, pozwolił urządzić zabawę prywatną z muzyką, ale bez śpiewu. Na tę zabawę przybył komisarz w mundurze, w towarzystwie żandarma i zabronił śpiewać nietylko w ogrodzie, ale nawet w zamkniętym pokoju.

Na drugi dzień patron Towarzystwa śpiewackiego, proboszcz miejscowy udał się do landrata dla wyjaśnienia tej sprawy i dowiedział się, że zakaz nastąpił z rozporządzenia władzy wyższej. W rozmowie z księdzem landrat wygadał się, że wszystkie towarzystwa polskie śledzą tajni agenci. Tacy agenci, którzy donoszą wyższej władzy o tem, co się w towarzystwach dzieje, mogą być nawet nieznani władzom miejscowym, które, rzecz naturalna, liczyć się muszą z tą tajną kontrolą. Sprawa owego »współpracownika policyi« w Gdańsku Kelma, który występował w roli prowokatora, dowodzi, że agenci zachęcają umyślnie znajdujących się w każdem towarzystwie krzykaczów do wystąpień, o których potem mogliby władzy swej donosić. Niedawno *Orędownik* zapewniał, że w samem Poznaniu w wielu towarzystwach polskich są członkami współpracownicy policyi i radził przeprowadzić oczyszczenie towarzystw.

Niewątpliwie, ze sprawozdań tych agentów, których wartość moralną i prawdomówność uwydatnił proces Tauscha, zebrał minister spraw wewnętrznych te obciążające rzekomo towarzystwa nasze materyały, o jakich wspominał posłom naszym, zapewniając,. że gdyby je znali, przyznali by poniekąd słuszność rządowi. Z powodu wycieczki Sokołów poznańskich do Kórnika wytoczono sprawę, oskarżając uczestników zabawy, że śpiewali »policyjnie zakazane« (?) pieśni: »Boże coś Polskę« i »Z dymem pożarów«. Tymczasem faktem jest że nikt podczas zabawy pieśni tych nie śpiewał.

To przykład kłamstwa agentów, a oto przykład prowokacyi. Podczas tegorocznego obchodu wianków w Poznaniu, kiedy zabawa już się kończyła i uczestnicy zabawy, mianowicie Koło śpiewackie zaintonowało hymn »Wszystkie nasze dzienne sprawy«, zabrzmiał nagle na trąbkach, na jednej z małych łodzi hymn niemiecki *Heil dir im Siegeskranz*, czy też *Wacht am Rhein*, bo nawet *Tageblatt* dobrze nie wie. Ma się rozumieć, wśród zebranej publiczności powstał krzyk tak głośny, takie przeraźliwe gwizdanie, że ani śpiewu, ani muzyki słychać nie było. Z tego zajścia *Tageblatt* wyprowadza już wniosek, że dni Wianków są policzone.

Zdaniem *Orędownika* najlepszem lekarstwem, »jedynem prawnem i konstytucyjnem na knowania agentów tajnych jest zupełna jawność postępowania naszych towarzystw. Potrzeby tej jawności niektóre towarzystwa nie rozumieją, owszem proszą nawet, żeby o ich działalności nic nie pisać. *Orędownik* przypuszcza, że jawność postępowania pokrzyżuje nawet szyki agentom, którzy donosić zaczną władzom centralnym o takich rzeczach, o jakich miejscowe władze nie będą mogły nic wiedzieć. Wytworzy to nieporozumienie między władzami centralnemi a miejscowemi, które tym władzom da się dotkliwiej we znaki, aniżeli naszym towarzystwom. Przypuszczenie wydaje nam się trafnem, jak również zalecenie tego rodzaju taktyki, któraby osłabiała system polityczny i administracyjny rządu pruskiego. Podobną taktyką posługują się właśnie z dobrym skutkiem socyaliści niemieccy.

Fakty, w rodzaju wyżej przytoczonych, wynurzenia hakatystów i autorów broszur niemieckich dowodzą, że rząd, nawet po odrzuceniu ustawy o stowarzyszeniach, nie zaniecha kampanii przeciw towarzystwom polskim i że ma już plan tej kampanii obmyślony i ułożony. Wobec tego społeczeństwo polskie w zaborze pruskim musi z wielką przezornością, ale zarazem ze stanowczością tej żywotnej sprawy swojej bronić.

INTELIGENCYA POLSKA W ZABORZE PRUSKIM.

Pisma niemieckie skarżą się często, że w miastach przybywa coraz więcej kupców i przemysłowców polskich, a nawet przedstawicieli inteligencyi zawodowej i to nietylko w Poznańskiem, ale również na Śląsku i w Prusiech Zachodnich.

W obwodzie regencyi poznańskiej na 243 lekarzy w ogóle jest 125 Polaków, a 65 Niemców i 53 zniemczonych Żydów. Na 91 właścicieli aptek przypada tylko 37 Polaków, zaś 42 Niemców i 12 Żydów. Tu stosunek jest gorszy, bo apteki są drogie i do nabycia potrzeba znacznego kapitału. Farmaceuci Polacy dochodzą zwykle do posiadania apteki drogą małżeństwa z posażną panną. Liczba adwokatów Polaków zwiększa się również.

W pismach śląskich coraz częściej spotykamy ogłoszenia o osiedleniu się lekarza lub nawet adwokata Polaka w jakiejś miejscowości na Górnym Śląsku, a czasem wezwania, żeby lekarz lub adwokat Polak osiadł. W krótce już mieć będziemy na Śląsku spory zastęp inteligencyi polskiej. Najmniej stosunkowo wzrasta jej liczba w Prusiech Zachodnich. Ale i tam jest postęp widoczny. Zaznaczając ten fakt, nie możemy jednak objaśnić jego przyczyny.

Z jednej strony wyzbywanie się ziemi przez Polaków, z drugiej usunięcie ich niemal zupełne ze stanowisk urzędowych objaśniają ten dopływ żywiołu polskiego do przemysłu i handlu i do t. zw. profesyj wyzwolonych. Te same przyczyny wytworzyły podobny stan rzeczy w Królestwie i na Litwie, ale tylko w przemyśle i handlu, bo zawody inteligentne zawsze tam były w naszych ręku. W zaborze pruskim zaś oddawna Niemcy opanowali te zawody i teraz dopiero Polacy zaczynają współzawodniczyć z nimi.

Niestety w sprawach publicznych ta inteligencya polska nie umiała zająć dotychczas samodzielnego stanowiska i nawet młodsi jej przedstawiciele wahają się wciąż między polityką szlachecką i dążeniami demokratycznemi mieszczaństwa i ludu.

ZAKAZANIE PROCESYI.

»Czy Lubawa należy także do Puttkamerunii (tak nazwał poseł Lieber Pomeranię, w której rodzina Puttkamerów rządzi) — pyta *Germania* i pisze dalej:

»Powiat lubawski w Prusiech Zachodnich jest zamieszkały przez $^4/_5$ katolików, a jednak tegoroczna procesya Bożego Ciała nie znalazła w oczach landrata łaski; została — zakazaną. Pan landrat pochodzi z Pomeranii. Że to wywołało wielkie oburzenie pomiędzy ludnością katolicką, dodawać nie potrzeba. Dziwne uczucie musi każdego katolika ogarniać, jeżeli widzi, że w Prusiech zakazują tego, na co nawet w Rosyi pozwalają, i że socyalna demokracya, która w powiecie lubawskim coraz więcej się rozszerza, a nawet zebrania w publicznych lokalach odbywa, może się czuć wolniejszą, aniżeli katolicy«.

Stronnictwo centrum, ma się rozumieć, poruszy tę sprawę w sejmie pruskim i *Germania* spodziewa się, że »podczas rozpraw wyjdą na jaw ciekawe szczegóły.« Bardzo być może, bo powiat lubawski należy do najbardziej polskich w Prusiech Zachodnich i zakaz odbycia procesyi wymierzony był zapewne nie tyle przeciw katolikom, ile przeciw Polakom. Pisma polskie zaznaczają, że w święto Bożego Ciała widziano na ulicach w Lubawie wielką liczbę żandarmów, widocznie landrat obawiał się zaburzeń, co pozwala przypuszczać, że, wydając zakaz, działał nie z własnego natchnienia, lecz z rozporządzenia wyższej władzy.

WPŁYW KULTURY ROSYJKIEJ.

Przed sądem ławniczym w Toruniu stawało niedawno kilku parobczaków z Ostaszewa, oskarżonych o to, że idąc w pole do roboty, zatrzymali się przy budynku szkolnym i wyprawiali hałasy, pomimo prośby nauczyciela, żeby w śpiewie dzieciom nie przeszkadzali. Jeden z oskarżonych użył względem nauczyciela znanego wyrazu a raczej wyrażenia rosyjskiego, którego zresztą ani on sam, ani nikt ze świadków, ani sędzia nie rozumiał. Za to wyrażenie rosyjskie, w słowniku kupców moskiewskich noszące nazwę »obrazy macierzystej«, skazano chłopaka na tydzień więzienia, towarzysze zaś jego wykręcili się 3 dniami aresztu.

Wiadomo, że najwidoczniejszym objawem wpływu kultury rosyjskiej na sąsiednie, zarówno cywilizowane, jak dzikie ludy jest przyswojenie sobie przez nie rdzennie-moskiewskich przekleństw i połajanek. Ale nie o tym wpływie mówić chcemy w danym wypadku, tylko o zachowaniu się sędziego, na którego oddziałać musiało niewątpliwie sąsiedztwo rosyjskie.

Oskarżeni, z wyjątkiem jednego, na zapytanie sądu odpowiedzieli, że rozumieją po niemiecku. Tego, który nie umiał po niemiecku, niejakiego Pawlaka, sędzia zapytał, gdzie chodził do szkoły, a, nie otrzymawszy odpowiedzi, kazał zawołać tłómacza, dodając: „*Pawlak ist zu dumm, er kann nicht deutsch*“. Okazało się następnie, że Pawlak pochodzi z Królestwa.

Sędziemu nie wolno obrażać oskarżonych, tem bardziej używać wyrażeń, które ubliżają wielu szanowanym obywatelom, nie znającym języka niemieckiego, a takich w starszem pokoleniu wielu się znajdzie. Tenże sędzia innych oskarżonych nazywał kilkakrotnie *Bengel* (chłystek, drągal). Sami oni nie będą zapewne obrazy swej dochodzić, ale chociaż sprawa jest drobną, należałoby koniecznie poruszyć ją publicznie i zażądać od władzy wyższej wyjaśnienia, czy taka, wzorująca się na rosyjskiej praktyka sądowa jest uprawnioną w państwie konstytucyjnem. Bo to już nie pierwszy przykład zelżenia przez sędziego oskarżonych lub świadków Polaków za to, że po niemiecku nie umieją. Właściwie nawet rosyjscy sędziowie pokoju tylko wyjątkowo dopuszczają się teraz podobnych wykroczeń, natomiast pruscy ich naśladowcy coraz częściej w ten sposób składają dowód swego patryotyzmu.

Z GALICYI.

„SZKOŁA LUDOWA.“

Dnia 27 b. m. odbył się w Krakowie doroczny zjazd delegatów Towarzystwa »Szkoły ludowej«, które, jak wiadomo, pierwsze w Galicyi zajmuje miejsce w rzędzie instytucyi kulturalnej samopomocy. Główną osią, około której tym razem obraca się sprawozdanie Zarządu głównego, jest szkoła polska w Biały, przechodząca powoli z krainy marzeń w sferę rzeczywistości. Powiodło się Zarządowi zwalczyć niemałe przeszkody, jakie budowie tej szkoły stawiała wrogo usposobiona niemiecka rada m. Biały, skutkiem kaprysu tej rady przerobiono pierwotne plany, uzyskano ich zatwierdzenie i oddano wreszcie roboty drogą konkursu miejscowemu budowniczemu Rostowi, który zobowiązał się,

pod okiem prof. Odrzywolskiego z Krakowa, doprowadzić budynek pod dach jeszcze w roku bieżącym. Można się więc spodziewać, że najdalej za rok niemczona dotąd dziatwa bialska zacznie już korzystać w nowym przybytku z nauki w języku ojczystym, jeżeli nie zawiedzie ofiarność ogółu, którego zadaniem dostarczyć jeszcze kwoty około 7000 zł. (dotychczas zebrano 48000 zł.), potrzebnej na dokończenie budowy, nie licząc znacznych kosztów odpowiedniego urządzenia i utrzymania szkoły, dopóki rada szkolna nie przyjmie jej na etat kraju.

Oczywiście nie ma żadnej wątpliwości, że dostateczne środki się znajdą, nasuwające się jednak mimowoli pytanie, czy Towarzystwo dobrze czyni, poświęcając tak znaczny stosunkowo nakład sił i funduszów z trudem zdobywanych jednemu tylko ogniwu w łańcuchu oświaty ludowej, z koniecznym w następstwie uszczerbkiem dla innych ogniw i innych stron swej pożytecznej działalności, godziłoby się grnntownie, przynajmniej na przyszłość, rozważyć. Myśl założenia szkoły polskiej w Biały niewątpliwie z najszlachetniejszych wypłynęła pobudek, nikt też zapewne przeciw samemu pomysłowi nie ważyłby się wystąpić. Chodzi jedynie o sposób sfinansowania tej budowy, jak na nasze stosunki i różnorodne piekące potrzeby, może za drogiej i nie bardzo ekonomicznie pomyślanej. Faktem jest, że szkoła bialska, sama jedna, pochłania tak dalece zasoby i energię Towarzystwa, iż skutkiem niej cierpieć musi zarówno lud nasz, z braku szkół na wynarodowienie narażony w innych okolicach kraju i na kresach wschodnich, szybkiej wyglądających pomocy, jak i inne, statutem wskazane kierunki działania instytucyi. Po pięciu latach istnienia, okazuje się, że Towarzystwo posiada zaledwie sześć szkół własnych, co wobec moralnego kredytu, jaki sobie »Szkoła ludowa« przebojem niemal w całem społeczeństwie wyrobiła, jest cyfrą bezwarunkowo małą. Nie wzrasta również, tak jakby to było ze wszech miar wskazanem, liczba członków Towarzystwa i nie wszystkie koła rozwijają działalność pożądaną. Kto wie, czy i ten objaw nie tłómaczy się do pewnego przynajmniej stopnia zbyt jednostronną akcyą z góry. Kto szczerze pragnie, aby »Szkoła ludowa« rozwinęła się potężnie i trwałe usługi oddawała społeczeństwu, uzna słuszność tych uwag.

Dotychczas założone przez Towarzystwo szkoły mieszczą się przeważnie w Galicyi wschodniej, w miejscowościach zamieszkałych przez Mazurów. W ubiegłym roku Zarząd główny przyznał gminie Narol na budowę szkoły zapomogę 400 zł., poobdzielał zasiłkami pieniężnymi kilka czytelń, głównie na Śląsku, nagradzał nauczycieli kresowych za gorliwą pracę około szerzenia oświaty narodowej. Dla zbadania stosunków narodowościowych w okręgu przemyskim, wypracował szczegółowy referat członek Zarządu p. J. Łokietek. W dwóch gminach na Bukowinie (Nowa Rzutka i Rohoźna) zorganizowano naukę polskiego języka, nadto Zarząd główny złożył kwotę 300 zł. jako zawiązek funduszu na budowę szkoły polskiej w miejscowości, którą uzna za najodpowiedniejszą.

Kół miejscowych liczyło Towarzystwo: w Galicyi 50, na Śląsku 2, na Bukowinie 3, razem 55. Niektóre z nich odznaczają się uznania godną ruchliwością. Staraniem Kół powstały szkoły dla dorosłych analfabetów w Krakowie, Rzeszowie, Stanisławowie i Kołomyi. Koła pań we Lwowie, Stanisławowie i Stryju, oraz Koło nowosądeckie krzątają się około budowy szkół własnych. Karwińskie (na Śląsku) zarządza trzema czytelniami, czerniowieckie zamierza utworzyć bursę dla młodzieży polskiej miejscowych szkół ludowych i wydziałowych, dwa inne koła bukowińskie, w Suczawie i Serecie organizują prywatną naukę języka polskiego. Z krakowskich Koło pań dostarczyło najwięcej funduszów na szkołę bialską, a t. zw. trzecie Koło zakłada bezpłatne wypożyczalnie (dotąd cztery), z których w ubiegłym roku korzystało ogółem osób 27.790. Do najruchliwszych należy Koło w Żywcu, które w krótkim czasie zjednało »Szkole ludowej« przeszło 220 członków. Wreszcie posiada Towarzystwo 30 czytelń utrzymywanych przez Koła prowincyonalne pod opieką Zarządu głównego.

Dochód wszystkich Kół wynosił z końcem 1896 r. 32.856 zł. 71 ct. Kasa Zarządu głównego miała dochodu 16.419 zł. 58 ct. Oprócz funduszu szkoły bialskiej Zarząd główny posiadał w funduszu zakładowym (nienaruszalnym) 30.015 zł. 12, ct. w bieżącym 15.340 zł. 52 ct. Członkom zwyczajnym wydano 8660 kart legitymacyjnych, nowych członków przystąpiło 515.

Na zjeździe delegatów przyjęto sprawozdanie powyższe do zatwierdzającej wiadomości, uczczono pamięć wielce zasłużonego dla Towarzystwa, byłego sekretarza Zarządu głównego dr. Lesława Borońskiego i jednomyślnie zamianowano honorowym członkiem »Szkoły ludowej« ciężką złożonego niemocą dra Adama Asnyka, który od chwili powstania instytucyi bez przerwy jej przewodniczy. Zjazd delegatów polecił w końcu Zarządowi głównemu dołożenie wszelkich starań, aby nie przekroczono kosztorysu budowy szkoły polskiej w Biały, i wybranie stałej komisyi, która ma się zająć systematycznem urządzaniem odczytów i wykładów popularno-naukowych po wsiach i miasteczkach. Ostatnia uchwała zmierza do wytworzenia instytucyi podobnej do zagranicznych uniwersytetów ludowych.

SOCYALIZM POLSKI NA ARENIE PARLAMENTARNEJ.

Wybór z piątej kuryi galicyjskiej do parlamentu wiedeńskiego posłów Daszyńskiego w Krakowie i Kozakiewicza we Lwowie był ważną w dziejach socyalizmu polskiego epoką. Z wyborem tym po raz pierwszy wystąpili socyaliści na arenę parlamentarną, po raz pierwszy uzyskali udział w rozstrzyganiu palących zagadnień chwili bieżącej. Do tego czasu jedyną poważną próbą wprowadzenia socyalisty polskiego do parlamentu było postawienie przez niemiecką socyalną demokracyę kandydatury robotnika Janiszewskiego w jednym z okręgów Berlina, ale wówczas, gdyby nawet kandydatura ta przeszła, Polak socyalista, jako wybrany przez robotników niemieckich, byłby właściwie posłem niemieckim, członkiem niemieckiego stronnictwa socyalno-demokratycznego i o zajęciu samoistnego stanowiska marzyćby nie mógł. Pp. Daszyński i Kozakiewicz, wybrani w kraju polskim i czysto polskich okręgach (w okręgu bowiem lwowskim skromną bardzo rolę odgrywała nieznaczna ilość głosów ruskich), stanęli przed rzeszą ludów państwa habsburskiego, jako przedstawiciele polskiego, tylko polskiego socyalizmu i, jako tacy, stali się rzecznikami dążeń partyi, która w trzech dzielnicach naszego kraju prowadzi żywą działalność.

Wejście polskich socyalistów do parlamentu nietylko formalnie, ale faktycznie było rzeczą ważną, dotychczas bowiem socyalizm polski, w jednej dzielnicy konspirujący, w dwóch zaś pozostałych zmuszony ograniczyć działalność polityczną do propagandy, nie miał możności zabrania głosu w kwestyach bieżących i złożenia dowodu, że jest w istocie kierunkiem takim, za jaki się w prasie agitacyjnej podaje. Wejście to do ciała prawodawczego odbyło się pod szczęśliwą gwiazdą, otrzymawszy bowiem znaczną, a w okręgu krakowskim nawet imponującą liczbę głosów, świadcząc o pewnym kredycie politycznym, posłowie socyalistyczni pozyskali odrazu pewny grunt pod nogami i zwrócili na siebie powszechną uwagę. Nadto, skutkiem nieszczęśliwego dla socyalistów przebiegu wyborów w prowincyach niemieckich stanowisko dwóch posłów galicyjskich zyskało na powadze

wobec ogółu socyalistów austryackich, a zwłaszcza w ogólno-austryackim klubie socyalistycznym, do którego bez zastrzeżeń pp. Daszyński i Kozakiewicz wstąpili. P. Daszyński nawet, skutkiem upadku wiedeńskiej kandydatury Adlera, został obrany przewodniczącym klubu, przez co stanowisko jego jeszcze się wzmocniło i rozszerzyło się pole jego działania.

Socyalizm polski istnieje dawno, partya zaś przedstawiana przez pp. Daszyńskiego i Kozakiewicza, działa właściwie w Królestwie i Galicyi od lat kilkunastu, aczkolwiek organizacya jej w dzisiejszych kadrach jest stosunkowo młoda. Ogół polski, prócz wielu błędnych pojęć i wielu wątpliwości, wiedział o niej jedną rzecz pewną i prawdziwą, mianowicie, że partya ta jest rzeczniczką interesów ekonomicznych klasy robotniczej, że organizuje w imię tych interesów walkę klasową, której najpoważniejszym wyrazem są powtarzające się od czasu do czasu bezrobocia, częstokroć zresztą organizowane przez robotników niezależnie od inicyatywy i pomocy partyi. Co do spraw szerszych, to nieuchwytne i zbyt ogólne, ażeby konkretną wartość mieć mogły, frazesy o uregulowaniu wszelkich stosunków na zasadach sprawiedliwości, nikogo oświecić co do właściwego stanowiska partyi w rozmaityah sprawach nie mogły, a samej partyi do niczego nie obowiązywały. Nawet postawione ostatnimi czasy w programach partyi dążenie do niepodległości Polski, pozostało właściwie ogólnym frazesem, programy te bowiem nie wskazały ani jednej pracy na chwilę bieżącą, którąby była bezpośredniem na rzecz niepodległości działaniem. Dotychczas nawet nie mieliśmy możności dowiedzieć się, jakie socyalizm polski względem interesów narodowych zajmuje stanowisko. Przez długi czas stanowisko to było wyraźnie wrogie, agitatorzy socyalistyczni wszelkich używali wysiłków w celu wyrobienia w robotnikach indyferentyzmu narodowego, ideał niepodległej Polski traktowali, jako nienawistny sobie, a dopiero przez ostatnich lat kilka wyraźna się w tym względzie zaznaczyła zmiana frontu. Zmiana ta wszakże nie jest wcale dowodem, żeby socyalizm stanął na gruncie interesów narodowych: nastąpiła ona jednocześnie z zaznaczeniem ze strony niemieckiej socyalnej demokracyi wrogiego jej względem Rosyi stanowiska i z postawieniem przez Niemców niepodległości Polski w szeregu celów całego europejskiego proletaryatu. Właściwie nawet ten zwrot w socyalizmie polskim odbył się za przykładem i poniekąd pod naciskiem przywódzców partyi niemieckiej. Jeżeli tedy Niemca, uznającego potrzebę niepodległości dla Polski, nie uważamy za przedstawiciela interesów i aspiracyi narodowych polskich, to uznanie tegoż postulatu przez socyalistów polskich nie robi ich jeszcze patryotami, zwłaszcza wobec tego, że, jak sami zaznaczają, niepodległa Polska jest im potrzebna o tyle, o ile spodziewają się w niej znaleść lepsze warunki polityczne do działalności w duchu socyalistycznym. Jak tedy powiedzieliśmy, po za przedstawicielstwem ekonomicznych interesów klasy robotniczej, socyaliści nasi nie wypowiedzieli się wyraźniej co do żadnej z palących kwestyi dnia dzisiejszego, a wycofawszy się z niektórych swoich dawnych stanowisk, nie wstąpili stanowczo na nowe drogi i pozostawili szerokie pole domysłowi co do ich poglądów na rozmaite kwestye.

Z tego względu wystąpienie na arenę parlamentarną przedstawicieli polskiego socyalizmu musiało obudzić poważne zainteresowanie. Można było się spodziewać, że nareszcie się dowiemy, co ma do powiedzenia ta partya, nie uznająca po za sobą żadnego innego stronnictwa i dająca do zrozumienia, że ma lekarstwo na wszystkie dolegliwości społeczne i gotową odpowiedź we wszystkich, najbardziej, zawiłych zagadnieniach życia.

Los chciał, że pierwsza sesya parlamentarna, w której wzięli udział posłowie piątej kuryi wysunęła odrazu na porządek dzienny kwestye pierwszej wagi w stosunkach monarchii habsburskiej, mianowicie narodowościowe.

Rozpoczęła się ona od wystąpień ze strony socyalistycznej przeciw rządowi z powodu nadużyć wyborczych, przedstawiających wdzięczne pole dla tanich popisów krasomówczych. Zabranie głosu w tej, słusznej zresztą sprawie było głównym czynem, na który teraz, po zamknięciu sesyi, posłowie socyalistyczni się powołują, jako na swoją zasługę. Czyn to ani wielki, ani nowy w dziejach austryackiego parlamentaryzmu — zdobywali się nań już posłowie ruscy, którzy do wielkiej roli dziejowej pretensyi, przynajmniej głośnych, nie mieli, zdobywał się, po wystąpieniu z Koła polskiego, i demokratyczny poseł Lewakowski, którego socyaliści lekceważyli. A jeżeli w dyskusyi z zachowawcami polskimi poseł Daszyński rzucił wielkie słowo, oświadczając, że jest lepszym od nich patryotą polskim, bo jest wrogiem despotyzmu carskiego, to powiedzenie takie można co najwyżej uważać za tani, do niczego nie obowiązujący frazes, bo wprawdzie nienawiść do carskiego despotyzmu jest piękną rzeczą, ale takim patryotą polskim, którego patryotyzm do tej nienawiści się sprowadza, może być i Portugalczyk.

O wiele więcej interesującą była kwestya, jak się zachowają nasi socyaliści w sprawie rozporządzeń językowych dla Czech. Rozporządzenia te nie są faktem pojedyńczym, małego stosunkowo znaczenia, jak je traktują w sprawozdaniach poselskich panowie Daszyńscy. To jeden moment z wielkiego procesu dziejowego, który się dziś odbywa w dzisiejszej Austryi, to krok naprzód w przywracaniu narodowej indywidualności krajom tej monarchii, w odrabianiu niwelacyjnej roboty centralizmu niemieckiego. Wypowiedzenie się w sprawie tych rozporządzeń — to nie czyn pojedyńczy, przechodzący bez śladu i wolny od dalszych konsekwencyi, to zajęcie stanowiska w sprawie niesłychanie doniosłej, oświadczenie się za jednym z dwóch kierunków, z których pierwszy dąży do stworzenia dla różnych, skutych niegdyś pętami absolutyzmu krajów — warunków samoistnego rozwoju, do uczynienia w rezultacie narodów Austryi narodami niepodległymi i sprowadzenia związku między nimi do federacyi, drugi zaś chce wszystkie podciągnąć pod jeden strychulec, interesy krajów scentralizować w Wiedniu, podtrzymując trwanie austryackiego biurokratyzmu. Jakie interesy wchodzą tu w grę u rozmaitych stronnictw, nie będziemy w to dziś wchodzili, dość, że przy wysunięciu na porządek dzienny sprawy rozporządzeń językowych, w ich obronie stanęły wszystkie żywioły słowiańskie i Niemcy z krajów odwiecznie niemieckich, którzy, żyjąc zdala od walk narodowościowych, aspiracyi zaborczych wykarmić w sobie nie zdołali, przeciw nim zaś zgrupowały się najwstrętniejsze, szowinistyczne żywioły niemieckie i niemiecko-żydowskie, które nie mając większości, postanowiły walczyć obstrukcyą i doprowadziły do niebywałych parlamentarnych skandalów. Socyaliści, a śród nich i dwaj przedstawiciele socyalizmu polskiego, przyłączyli się do szowinistów niemieckich i wzięli udział w obstrukcyi, występując przeciw dążeniom Czechów wszelkich politycznych odcieni. Usprawiedliwiając to swoje stanowisko, p. Daszyński użył paru banalnych sofizmatów, które zostały właściwie ocenione przez p. Wł. Grabskiego w *Nowej Reformie* i nad którymi tu zatrzymywać się nie będziemy.

Bezpośrednio po rozporządzeniach językowych i wywołanej przez nie burzy wystąpiła na pierwszy plan w politycznych kołach i w prasie kwestya federalizmu. Socyaliści polscy utrzymali się na stanowisku konsekwentnem i stanęli po stronie wrogów rozszerzenia autonomii, po stronie, po której za towarzyszy mają wyłącznie prawie szowi-

nistów niemieckich. W tej sprawie wystąpili z dogodnym argumentem, że w razie przeniesienia środka ciężkości życia politycznego do sejmów krajowych wzmocnią się w Galicyi dążności zachowawcze, jakby nie rozumiejąc tego, że byłoby to wzmocnienie tylko chwilowe, że kraj przy ożywieniu politycznem i przy większej samoistności szybciej by się posunął na drodze postępu, że wreszcie tę chwilową przewagę konserwatyzmu okupiłby szereg korzyści, mających donioślejsze dla przyszłości znaczenie. Tego pp. Daszyńscy nie widzą i dowodzą swym wyborcom, że Galicyę może uszczęśliwić tylko interwencya z Wiednia.

To mieli do powiedzenia przedstawiciele polskiej partyi socyalistycznej, wystąpiwszy na widownię parlamentarną. Nie dowiedli wprawdzie, żeby socyalizm miał swoje, odrębne we wszystkich kwestyach stanowisko, bo nie umieli się zdobyć na nic więcej od przedstawicieli kapitalistycznej lewicy niemieckiej, ale zato dostarczyli jeszczcze raz dowodu, że my dotychczas polskiej partyi socyalistycznej nie mamy, że nasz ruch socyalistyczny jest tylko ogonem socyalizmu niemieckiego, który znakomicie umie pracować dla niemieckich celów narodowych i innych do tej pracy zaprzęgać. Socyaliści Czesi już okazują sporo chęci wyemancypowania się z pod tego wpływu niemieckiego. Czy w naszym socyalizmie ta dążność prędko się okaże, tego jeszcze dziś przewidzieć nie można? Zamało jest jeszcze samodzielna masa »towarzyszy«, a zawiele wybrańcy jej i wodzowie mają skłonności do powszedniej szulerki politycznej, dalekiej od dojrzałej, planowej roboty.

SAMORZĄD POWIATOWY.

Odbyte w ubiegłym roku przy niezwykłem dzięki ruchowi ludowemu ożywieniu wybory do rad powiatowych w Galicyi, odsłoniły cały szereg braków i niedomagań w dotychczasowej gospodarce tych instytucyi. Zarzuty, z tego powodu podnoszone, trafiały przedewszystkiem większą własność ziemską, która do niedawna rządziła w powiatach samowładnie, bez żadnego prawie współudziału ludu, i nieraz na jego szkodę. Ostra krytyka ludzi i czynów nie dotykała jednak bynajmniej zasadniczej idei samorządu powiatowego, przeciwnie ruch ludowy ma niezaprzeczoną zasługę, że zatarł w rękach włościańskich wspomnienia niezbyt dawnych jeszcze haseł „precz z radami powiatowemi“, a pogłębiając u ludu świadomość potrzeby ustroju autonomicznego, dążył jedynie do odświeżenia »rad« nowymi ludźmi, do oparcia ich na szerszych podstawach i do zapewnienia ogółowi mieszkańców czynnego w zarządach powiatowych uczestnictwa. Jak wiadomo, usiłowania te odniosły w znacznej mierze skutek pomyślny.

Powiat w Galicyi jest nietylko okręgiem administracyjnym, lecz także samoistnym podmiotem gospodarstwa publicznego. Samorząd powiatowy, w myśl ustaw obowiązujących, nie ogranicza się jedynie nadzorowaniem gmin, przeciwnie ma zakres działania szeroki, obejmujący obok najżywotniejszych dla powiatu interesów oświaty i komunikacyi, także opiekę nad rozwojem przemysłu i handlu, nad stosunkami sanitarnymi, sprawami dobroczynności i t. p. O dotychczasowym postępie samorządu powiatowego dają wyobrażenie cyfry wydatków i dochodów, zestawione z zamknięć rachunkowych za dziesięciolecie 1883 — 1894. Ogólna suma wydatków wszystkich powiatów galicyjskich wynosiła w 1884 roku 1,046.779 złr., w 1894 r. 4,441.044 złr. podniosła się przeto o $3^1/_4$ miliona złr. Równocześnie wzrosły dochody z dodatków powiatowych (zwyczajne, a zatem jedyne źródło pokrycia wydatków) z 648.955 złr. do 1.689.348 złr. Jak widzimy, cyfra wydatków jest znacznie większa, niedobór też pokrywany bywa w drobnej części dochodem z własnego majątku powiatów, głównie zaś pożyczkami i subwencyami z funduszu krajowego na drogi powiatowe i gminne.

Szczegółowe porównanie wydatków na cele już określone da się przeprowadzić jedynie w rubrykach dróg i oświaty w innych bowiem brak danych dokładnych.

W r. 1884 powiaty galicyjskie wydały ogólnie na drogi przeważnie powiatowe i gminne oraz dojazdy kolejowe kwotę 584.516 złr. w r. 1894 — 2,335.138 złr.. więc niespełna dwa miliony więcej. W pierwszej cyfrze mieści się wydatek na drogi gminne z sumą 127.297 złr. w drugiej z 1,047.200 złr. Na cele oświaty wydano w 1884 roku 14.698 ct., zaś przy końcu dziesięciolecia 42.358 złr. t. j. prawie trzy razy tyle. W porównaniu z ogólną sumą wydatków powiatowych łożono przez cały ten czas na drogi z górą 50%, na oświatę zaledwie 1%, trzeba jednak nadmienić, że cyframi temi nie są objęte opłaty na fundusz szkolny okręgowy, wynoszące w każdym powiecie około 3% dodatku do podatków bezpośrednich, a których zarząd nie należy do rad powiatowych, lecz do szkolnych rad okręgowych.

Inne działy wydatków nie są w zamknięciach rachunkowych tak wyszczególnione, ażeby je można zestawić i porównać. Za rok 1884 wydano wprawdzie cyfry 4.044 złr. na cele gospodarstwa i przemysłu, 20.576 złr. na cele dobroczynności, niema jednak odpowiednich kategoryi w zamknięciu 1894 r. Odwrotnie znowu w tem ostatniem wyszczególniono kwoty, których niema w poprzedniem na budowle i konserwacye wodne 89.506 złr. na hodowlę bydła 2.098 złr. na cele sanitarne 21.094 złr.

Wyrazem działalności samorządu powiatowego jest także do pewnego stopnia wydatek na administracyę. Otóż w r. 1884 suma kosztów zarządu wynosiła ogółem 268.546 złr. w r. 1894 o przeszło 100.000 więcej, bo 281.891 złr. Przeciętnie wyjdzie na jedną radę powiatową i początkiem dziesięciolecia 3629 złr. z końcem 5160 złr. Składają się na te cyfry obok płac urzędników i sług, konto komisyjne, najem kancelaryi, podatki i t. p. W porównaniu z ogólnym wzrostem wydatków powiatowych, koszta administracyjne nietylko się podniosły, ale przeciwnie opadły, wynosiły bowiem w 1884 r, około 25% w r. 1894 zaś zaledwie 8%. Jest to objaw wcale pocieszający.

Z KRESÓW.

RÓWNOUPRAWNIENIE JĘZYKOWE.

Rząd, wydając rozporządzenia językowe dla Czech i Moraw, pominął zupełnie Śląsk, chociaż tam nie mniej, a może więcej były potrzebne, dlatego zapewne że, gdyby odpowiadały słusznym wymaganiom ludności nie zadowolniłyby ani Niemców, ani Czechów. W urzędach i szkołach w księstwie cieszyńskiem język polski mniej jest uwzględniony niż niemiecki, a nawet czeski, chociaż Niemcy i Czesi stanowią niewielki stosunkowo odsetek ludności tego kraju.

A teraz właśnie zbliża się chwila, kiedy równouprawnienie języka polskiego z niemieckim i czeskim przynajmniej w sądownictwie stanie się potrzebą konieczną, nowa bowiem procedura cywilna zaprowadza postępowanie procesowe ustne, sędzia więc musi rozumieć doskonale język stron. »Aby strony przy nowej procedurze sądowej — pisze *Gwiazdka cieszyńska* — sprawiedliwość uzyskać mogły, musi się rząd u nas na Śląsku przedewszystkiem postarać o to, aby sędziowie lud nasz rozumieli, a więc po polsku dobrze umieli. Obecnie, niestety, pozostaje nam pod tym względem wiele do życzenia. Poszczególnych osób wymieniać nie chcemy, ale w razie potrzeby i to uczynić jesteśmy gotowi. Dosyć

na tem, że w sądach w księstwie cieszyńskiem mamy obecnie dużo sędziów Niemców, którzy po polsku nic, a bardzo mało po czesku umieją. Są nawet wypadki takie, że sędziowie Niemcy ani słowa po polsku i po czesku nie umieją i porozumiewają się ze stronami przez swoich pisarzy«...

Podobne stosunki są w Królestwie i w zaborze pruskim i prasa galicyjska zwracała niejednokrotnie uwagę na tę oburzającą niesprawiedliwość, ale na Śląsku nie raziły jej dotychczas tak silnie, żeby domagać się miała radykalnej ich zmiany. *Gwiazdka* uważa za święty obowiązek zwrócić obecnie uwagę rządu na powyższe wywody i żądać od niego stanowczo, aby jak najprędzej zaprowadził równouprawnienie językowe i ażeby przy obsadzaniu posad sędziowskich nadawał urzędy te tylko takim osobom, które język naszej ludności dokładnie znają«. Dopóki jednak patryoci śląscy zarówno w tej sprawie, jak i w sprawie gimnazyum żądań swych nie sformułują kategorycznie i sami nie rozpoczną agitacyi, ani rząd, ani Koło polskie nic dla nich nie zrobią. Pogróżki ks. Świeżego, coraz to odraczane do dalszego terminu, że z Koła wystąpi, jeżeli żądania Polaków śląskich będą nadal lekceważone — robią już dziś trochę komiczne wrażenie. Niemcy bielscy zanoszą protest przeciw nadaniu prawa publiczności gimnazyum polskiemu, a Polacy śląscy w tej tak ważnej dla nich sprawie albo milczą albo w roli skromnych petentów podpierają ściany w przedpokojach ministerjalnych.

Myśl zwołania w lecie wiecu, którego zadaniem byłoby omówienie najważniejszych spraw śląskich, a przedewszystkiem sprawy równouprawnienia językowego wydaje się nam bardzo dobrą, szkoda tylko, że inicjatorem tego projektu nie jest człowiek więcej znany i poważany na Śląsku. Ale nawet wiec, zwołany przez p. Danielaka może, być pożytecznym, jeżeli da pobudkę do rozwinięcia żywszej agitacyi w sprawach śląskich.

NIEMCY-KATOLICY NA GÓRNYM ŚLĄSKU.

Hr. Ballestrem, jeden z przewódców stronnictwa cenrum, poseł do sejmu pruskiego z Bytomia i okolicznych polskich powiatów, jest właścicielem Rudy, ludnej osady górniczej, w której ma kopalnie. Dyrektorem jego w Rudzie jest niejaki Pieler, Niemiec, ale gorliwy katolik.

Miejscowe towarzystwo przemysłowców polskich zamierzało urządzić przedstawienie teatralne, na którem miała być odegrana sztuka p. t.: »Obrona Częstochowy«. Ponieważ jedyna odpowiednia sala znajduje się w oberży, należącej do hr. Ballestrema, zarząd poprosił dyrektora o pozwolenie zajęcia na wieczór tej sali. Dyrektor odmówił. Wówczas zarząd zwrócił się z prośbą do hrabiego. Ten jednak odesłał list polski z niemieckim dopiskiem, że po polsku nie rozumie i życzy sobie, żeby z nim korespondowano po niemiecku. Zarząd napisał raz jeszcze po niemiecku, na co hr. Ballestrem odpowiedział, że po zasięgnięciu zdania dyrekcyi swych dóbr »nie widzi powodu zmienić cośkolwiek w tej sprawie", t. j. odmówił sali na przedstawienie polskie.

Hr. Ballestrem z powodu swego nieprzychylnego usposobienia dla Polaków utracił już mandat do parlamentu w okręgu opolskim, gdzie na miejsce jego wybrany został ks. proboszcz Wolny z Żelaznej. Udało mu się jednak uzyskać mandat do sejmu z okręgu bytomskiego, z którego dawniej posłował major Szmula, wybrany następnie w Opolu. Obecnie polskie pisma śląskie zapowiadają hr. Ballestremowi, żeby nie stawiał kandydatury, bo lud nie życzy sobie takich przedstawicieli, »którzy jego języka nie znają i znać nie chcą«.

Kilku Niemców, członków zarządu kościelnego w Szynwałdzie pod Gliwicami, podało do żandarma skargę na proboszcza ks. Zielonkowskiego, że dąży wszelkimi sposobami do rozwiązania miejscowego *Kriegervereinu*, bo podczas pogrzebu jednego z członków nie pozwolił strzelać na cmentarzu i radzi fundusze towarzystwa oddać na budowę kościoła. Ma się rozumieć, z powodu tej skargi landrat polecił zbadać sprawę władzy gminnej, a sam doniósł o »występku« proboszcza regencyi, która znowu ma zawiadomić o tem kardynała-biskupa wrocławskiego.

Niejaki Rzeznitzek, inspektor szkolny, katolik, witając ks. Koppa w Mikołowie w imieniu ludności miejscowej, przeważnie polskiej, oświadczył, że występowanie podczas ostatnich wyborów przeciw kandydatom Niemcom, w rodzaju hr. Ballestrema, było »objawem obłędu«, który się już nie powtórzy. Słowa p. Rzeznitzka wywołały powszechne oburzenie wśród obecnych i nawet protest zbiorowy w jednem z pism polskich.

Stosunki narodowościowe na Śląsku zaostrzają się coraz bardziej i wątpić wolno, czy wiec katolików śląskich poradzi cokolwiek w tej sprawie, a nawet czy Polacy wezmą w nim udział. Faktów, w rodzaju wyżej przytoczonych, możnaby podać dziesięć razy więcej, a w każdym wypadku Niemcy katolicy są stroną zaczepiającą. Należy więc się im słusznie dobra nauczka, i niewątpliwie ją otrzymają przy sposobności wyborów przyszłorocznych.

TOWARZYSTWO POMOCY NAUKOWEJ WE WROCŁAWIU.

Pierwsze walne zebranie »Pomocy naukowej we Wrocławiu«, założonej w marcu r. 1896 odbyło się 16 maja. W pierwszym roku istnienia towarzystwa zarząd jego mógł w szczupłej tylko mierze zadosyć uczynić celowi instytucyi starał się bowiem przedewszystkiem o zebranie potrzebnych funduszów. Od 15 marca 1896 r. do 1 kwietnia r. b. miało towarzystwo dochodu 1688 marek i 70 fenigów, rozchodu zaś 484 marek i 70 fenigów. »Jakkolwiek — powiada sprawozdanie — nietylko dla samej urodzonej na Śląsku młodzieży fundusze towarzystwa przeznaczone być mają, jakkolwiek nie samą tylko młodzież akademicką wspierać powinniśmy, to w pierwszej jednak linii uwzględniamy młodzież śląską i to młodzież na ukończeniu już będącą, ażeby jak najwcześniej mieć owoce swej pracy, t. j. przysporzyć inteligencyi polskiej na Śląsku«.

Na semestr bieżący wyznaczyło towarzystwo na zapomogi 340 marek. Szczupłość funduszów nie pozwalała uwzględnić wszystkich podań i jak mówi zarząd z bólem serca przychodziło nam odprawić z niczem niejednego z tych młodzieńców, którzy do naszego apelując patryotyzmu, w towarzystwie naszem ostatnią pokładali nadzieję.

Zarząd »Pomocy naukowej« zwraca się z prośbą o poparcie do wszystkich rodaków, którzy mogą zapisywać się na członków towarzystwa lub przyczynić się do jego działalności datkami jednorazowymi. Wszelkie ofiary przyjmuje skarbnik towarzystwa, p. Antoni Malinowski (Wrocław, Höfchenstrasse 5).

»Ciężka, krwawa i trudna jest sprawa społeczeństwa naszego, które na tyle różnych narodowych celów pieniądze wydawać musi — lecz pewno nigdy grosz piękniejszego nie przyniesie plonu, jak tam, gdzie przyczynia się do szerzenia oświaty; nikt zapewne nie jest wdzięczniejszy jak ten, któremu bramę do wiedzy i nauki otworzymy; nigdzie podobno hojność nie powinna być okazaną więcej, jak tam, gdzie chodzi o ofiary na Ojczyzny ołtarzu składane«.

Tak wzywa do ofiarności zarząd »Pomocy naukowej«. Dopóki cel, do którego towarzystwo zmierza choć w części nie zostanie osiągnięty, t. j. dopóki inteligencya polska na Górnym Śląsku nie wzrośnie w liczbę, patryoci miejscowi

muszą i mają prawo rachować na ofiarność innych dzielnic. I mamy nadzieję, że się nie zawiodą, że znajdą się jeszcze pieniądze na ten cel tak doniosły, na ten pomnik naszego odrodzenia narodowego na Śląsku *aere perennius*.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

SEJM ZWIĄZKU NARODOWEGO.

XII sejm Związku Narodowego Polskiego w Stanach Zjednoczonych zwołany został do Filadelfii na dzień 6 września. Przedmiotem obrad sejmu, który jak wiadomo, zbiera się co dwa lata, będą następujące sprawy:

Wydawnictwo »Dziennika Narodowego«. Sprawa Domu Emigracyjnego. Wyszukanie odpowiednich miejsc na kolonie polskie. Obmyślenie środków dalszego szerzenia oświaty między ludem polskim w Ameryce. Obmyślenie środków mających zapobiedz nieporozumieniom w parafiach polskich. Dalsze popieranie Skarbu N. P. w Rapperswylu i wspólna praca ze Związkiem Wychodztwa Polskiego w Europie. Nawiązanie stosunków z Polakami w Brazylii. Popieranie Sokolstwa, Związku śpiewaków i Związku młodzieży polskiej w Stanach Zjednoczonych.

Do najważniejszych z tych spraw zaliczamy obmyślenie środków i sposobów szerzenia oświaty w duchu narodowym pomiędzy ludnością polską w Ameryce i zawiązanie stosunków z Polakami w Brazylii. Natomiast sprawa wyszukania miejsc na kolonie polskie, czyli, inaczej mówiąc, sprawa kolonizacyi drugiego stopnia wydaje nam się mrzonką. Odpowiedniego terytoryum dziś już w Stanach Zjednoczonych niema, na którem ludność polska osiąść by mogła zwartą masą. Kolonizacya drugiego stopnia możliwa jest tylko w Brazylii i dlatego właśnie zawiązanie bliższych stosunków pomiędzy tamtejszymi Polakami a wychodztwem północno-amerykańskiem uważamy za sprawę bardzo pilną i ważną.

Nie mówimy już o sprawie Skarbu Narodowego nie tracącej nigdy na doniosłości.

POLACY W BUDAPESZCIE.

Najbiedniejszą i najbardziej wyzyskiwaną część ludności robotniczej w stolicy Węgier stanowi proletaryat słowacko polski. Słowacy pracują zazwyczaj przy budowach, Polacy, przeważnie Górale z Galicyi i północnych Węgier — głównie w cegielniach. Pierwszych liczą około 40.000, drugich 20.000. Praca w cegielniach trwa od świtu do zmroku, a zarobek wynosi od 60 do 70 centów dziennie. Robotnicy polscy odżywiają się bardzo licho chlebem, pieczonemi kartoflami z cuchnącą słoniną, flakami i t. p. Bosi, brudni, obdarci śpią w wilgotnych norach, w piwnicach, po 15—20 w jednej izbie, lub na piecach w cegielniach, właściwie w szopach, w których wypala się cegły.

Istnieje oddawna w Budapeszcie towarzystwo polskie, ale do niego należą pracownicy handlowi, rzemieślnicy itd. słowem arystokracya klasy pracującej. Ani towarzystwo, ani nikt zgoła nie zajmuje się tym proletaryatem robotniczym. Dopiero od roku, jak pisze berlińska *Gazeta robotnicza* kilku młodych socyalistów polskich mieszkających w Buda-Peszcie zaczęło agitować pomiędzy robotnikami polskimi«. Przez rok czasu, pisze *Gazeta* — na 40 zgromadzeniach ludowych polskich kilkanaście tysięcy robotników słuchało naszej socyalnej idei(?), przeszło 10,000 egzemplarzy naszych pism rozpowszechniono i kilkanaście tysięcy odezw i broszur polskich«.

W tym wypadku, jak w wielu innych propaganda socyalistyczna przyczynia się pośrednio, nie wytykając sobie tego celu, do rozbudzenia w masach robotniczych poczucia narodowego. Podane wyżej cyfry mogą być przesadzone, ale niewątpliwie propaganda zyskuje wielu zwolenników wśród tych biedaków i można wierzyć *Gazecie robotniczej*, że »sami oni mówią: od 20 lat tak tu cierpimy, a z naszych panów i księży nikt się o nas nie zapytał, dopiero przyszli socyaliści, których tak prześladują, by nas pouczyć i nam pomódz, dlatego my wszyscy za ich śladem pójdziemy«.

Sama *Gazeta* chwali »nie tyle zdolności ile energię i zapał« tych agitatorów, którzy naiwnie sądzą, że »przyczyną nędzy, największego wyzysku i upadku słowiańskich i polskich proletaryuszy jest fanatyzm religijny, nadany (?) przez naszych duchownych pasterzy«. To wytłómaczenie przyczyny nędzy społecznej pozwala przypuszczać, że agitatorowie muszą być Polakami wyznania mojżeszowego.

PROŚBA POLAKÓW WESTFALSKICH.

Zebrani na wiecu w Bruchu, w liczbie 1000 osób wychodźcy polscy podali prośbę do arcybiskupa w Paderbornie o ustanowienie kapłana polskiego, któryby wygłaszał po polsku kazania i słuchał spowiedzi. W parafii Bruch mieszka około 300 Polaków katolików, których ogromna większość nie umie po niemiecku. Parę razy do roku przyjeżdża wprawdzie ksiądz, władający językiem polskim, ale nie może wyspowiadać nawet połowy wiernych. Jednocześnie proszą arcybiskupa Polacy, żeby, jak dawniej bywało, podczas jednej mszy w niedzielę mogli śpiewać po polsku.

Podobną zbiorową prośbę wysłali do tegoż arcybiskupa Polacy, zamieszkali w dekanatach bochumskim i wattenscheidzkim. W samem Bochum i okolicy kilkuset ludzi nie mogło odbyć spowiedzi z powodu braku księży, umiejących po polsku. Podpisani na petycyi proszą arcybiskupa o zaradzenie tej potrzebie duchownej.

Żądanie Polaków westfalskich jest zupełnie uzasadnione, ale czy władza duchowna zechce mu zadość uczynić — wątpimy. Arcybiskup twierdzi, że trudno znaleść księży polskich i może ma w pewnej mierze słuszność. Szczęśliwsi są od katolików Mazurzy protestanci, bo dla nich świeżo właśnie przysłano do Westfalii dwóch pastorów, umiejących po polsku. Zrobiono to zapewne z tego względu, że na wychodztwie Polacy protestanci zbliżają się do swych rodaków katolików i poczucie odrębności wyznaniowej słabnie w nich pod wpływem rozbudzonego poczucia jedności narodowej.

Policya pruska i w Westfalii zaczyna występować przeciw towarzystwom polsko-katolickim. W Horst zabroniono towarzystwu polskiemu św. Piotra wystąpić podczas procesyi Bożego Ciała z własną chorągwią i w czapkach, (zapewne w podejrzanych maciejówkach, jakie tylko Polacy tam noszą). Kiedy przed wyruszeniem na procesyę członkowie towarzystwa zebrali się w swoim lokalu, przyszedł żandarm i oglądał każdego czy ma czapkę i oznaki, a komisarz oświadczył, że każe wszystkich aresztować, jeżeli ktokolwiek rozwinie chorągiew. Zapytany przez prezesa towarzystwa o powód zakazu, odpowiedział komisarz, że otrzymał takie rozporządzenie od władzy wyższej. Dodać trzeba, że nie chodzi tu o barwy polskie, bo chorągiew jest czerwono-żółta, a czapki ciemno-niebieskie z żółtymi sznurami, oznaki zaś białe, czerwone i zielone.

PRZEGLĄD PRASY.

— Oddawna już ustaliło się w prasie galicyjskiej przekonanie, iż najlepiej się służy rodakom z zaboru rosyjskiego, przedstawiając ich, jako największych w świecie politycznych niedołęgów, niezdolnych do żadnego czynu, ani do stworzenia sobie rozumnego planu politycznej działalności, odpowiedniej do warunków, w których ta dzielnica żyje. Podawano też zawsze tylko wiadomości o skandalach, popełnianych przez przedstawicieli władzy rosyjskiej, skargi na ucisk, bezradne jęczenia, ale starannie przemilczano, wszystko, cokolwiek świadczyło o politycznej żywotności społeczeństwa, wszelkie fakty racyonalnej reakcyi na ucisk i pozytywnej pracy politycznej w duchu narodowym. W ostatnich nadto czasach, dzięki staraniom warszawskich ugodowców, dzięki ich moralnym i materyalnym wpływom, a w części przez zwykłą bezmyślność, cała niemal prasa tutejsza, świadomie lub nieświadomie uprawia fałszowanie zakordonowych stosunków w duchu, dla Rosyi korzystnym, stara się przedstawiać stosunki polsko-rosyjskie, jako sielankę, unika podawania prawdy o panującym w Królestwie ucisku, plotąc przytem częstokroć niestworzone rzeczy o wrzekomych sympatyach dla Rosyi, które się miały narodzić w tamtejszym odłamie naszego społeczeństwu. Niektóre pisma oświadczają się wprawdzie przeciw niedorzecznej i szkodliwej akcyi ugodowców warszawskich, ale to im nie przeszkodziło przejąć ogólnego tonu od heroldów ugody, skutkiem czego czytelnicy ich ulegają temu samemu wpływowi, który wywierają skrajne stańczykowskie organy, i warszawscy lojaliści mogą sobie powinszować, że prasę tutejszą do swego rydwanu zaprzęgli i skłonili ją niewielkim kosztem do puszczania wody na ich młyn, mielący plewy.

Jak powiedzieliśmy, u jednych dzienników wypływa to z polityki świadomie stańczykowskiej, u innych zaś z politycznej bezmyślności. Zarobiwszy sobie niegdyś swem nieuctwem, lekkomyślnością i brakiem miary w przedstawianiu rzeczy na miano krzykaczów i zawodowych kłamców w sprawach zaboru rosyjskiego, otrzymawszy za to niejedną reprymendę, dziennikarze galicyjscy zachorowali obecnie na takt i na t. zw. rozum stanu, a że sami go nie mają, bo o istocie stosunków w zaborze rosyjskim nie mają pojęcia, więc musieli go sobie pożyczyć. Najłatwiej, na najmniej kosztownych warunkach udzieliła im kred. »solidna« firma warszawskich opiekunów narodu, która swych agentów sama im nasyłała, więc nic dziwnego, że od niej sobie pożyczono rozumu stanu i zaczęto na całej linii uprawiać politykę ugodową, tak sprzeczną z usposobieniem i aspiracyami społeczeństwa polskiego w zaborze rosyjskim.

W takich warunkach, ogłaszając w naszem piśmie »Program stronnictwa demokratyczno-narodowego w zaborze rosyjskim«, byliśmy całkiem pewni, że nie znajdzie on w prasie tutejszej odgłosu, że część jej pokryje go milczeniem, dlatego że nie chce reklamować wrogiego stańczykowstwu stronnictwa, część zaś dlatego, że nie znając stosunków tamtejszych, nie będzie wiedziała, co o sprawie sądzić. Zresztą, kierunek społeczny tego programu dla tak małej ilości pism mógł być sympatycznym, iż z całą pewnością można było przewidzieć, że względy partyjne nakażą im rzecz całą ignorować, o ile nie uważa się za stosowne napaść na nią w sposób gwałtowny.

Istotnie, jeden tylko *Kuryer lwowski* podał swym czytelnikom przedmiotowe i rzetelne streszczenie programu, robiąc słuszną uwagę, iż występujące z nim stronnictwo »przypomina pod wielu względami nasze (galicyjskie) stronnictwo ludowe«, ponieważ »usiłuje oprzeć pracę swoją na szerokich warstwach ludowych«.

Po za nim cały korpus główny prasy galicyjskiej powstrzymał się od głosu. Tylko *pars latrunculorum*, a więc z lewicy usiłujący wziąć w pacht cały lud polski — socyaliści, z prawicy zaś myszkujący po za polem właściwej walki politycznej maruderzy wstecznictwa głos zabrali w sposób sobie właściwy.

Polemiki z pismami temi prowadzić nie myślimy. To, co powiedziały one, jest zbyt niedorzeczne i niesumienne, ażeby za punkt wyjścia do jakiejkolwiek rozprawy służyć mogło. Dyskusyę z pismami socyalistycznemi już od dawna sobie wyperswadowaliśmy. Te organy „najuczciwszego“ stronnictwa nie umieją przytoczyć jednego zdania cudzego, żeby go nie przekręcić, a kiedy usłyszą spokojną, w przyzwoitym tonie wypowiedzianą krytykę, występują zaraz do boju z takim arsenałem obelg, że szanujący się przeciwnik, chcąc dalej rozprawę prowadzić, musiałby pióro odłożyć, a wziąć do ręki inne jakie narzędzie. Jest to bardzo dogodny sposób ukrywania swej słabizny mózgowej. Niesumienne krętactwo i obelgi uwalniają od potrzeby logicznego argumentowania, przy którem trzeba wartość swego umysłu, wstydliwie chowaną pod płachtą z jaskrawych frazesów, odsłonić. Co do pism, atakujących program, z prawej strony, to niewiele się różniąc od socyalistów w taktyce, tem się jeszcze różnią od nich na niekorzyść, że często nie można ich o bezinteresowność pobudek posądzać.

Pomijając już *par excellence* niedorzeczny artykuł krakowskiego *Głosu Narodu*, zatytułowany »Zachcianki szaleńca«, który w programie »demokratyczno-narodowym« widzi co najmniej nawoływanie do powstania na najbliższą wiosnę i który, nieświadomy swego ograniczenia umysłowego, dziwi się, że »pismo chorujące na kierowanie opinią publiczną, nie znalazło dość zdrowego zmysłu do odróżnienia lichej plewy od dobrego ziarna« (*Głos Narodu* tłómaczy to »wykształceniem w szkole pustego liberalizmu«), musimy zwrócić uwagę na nikczemne wprost wystąpienie lwowskiego *Przeglądu*, organu p. Masłowskiego. Nienawiść do wszystkiego co demokratyzmem pachnie, szyderstwo z logiki i uczciwości skłonność do denuncyacyi, wreszcie zawodowa wprawa w rzucaniu kolumnii — wszystkie te znane cnoty szanownego organu złożyły się na wspomniane arcydzieło publicystyczne. Jako próbkę, przytaczamy następujących wierszy kilka:

„Jest w „Programie“ jeden ustęp jakby umyślnie kompromitujący polityczną uczciwość Polaków. „Zasada lojalności —pisze „Program“ demokratów—a nawet legalności, stosowana konsekwentnie względem rządów obcych, prowadzi do całkowitego uzależnienia rozwoju narodowego od woli tych rządów i jako taka równa się nielojalności względem własnego społeczeństwa, zgubnej dla jego interesów, dla całej jego przyszłości. Zresztą stosunek do państwa i jego ustaw jest dla nas wyłącznie sprawą taktyki politycznej, niepodlegającej żadnym stałym i bezwzględnym zasadom; decydować musi w tej sprawie, a więc w wyborze środków i sposobów działania, ścisły rachunek prawdopodobnych zysków i strat“. A zatem, powiedziano tu, innemi słowami, że nasze dążenie do możliwej zgody z Rosyą, jest tylko rzeczą taktyki, sposobem do zbliżenia się ku niepodległości. Więc owa partya demokrayczna rekomenduje nas przed rządem rosyjskim, jako politycznych przeniewierców. Podobne oszczerstwo na naród mógł wsunąć do „programu partyi demokratycznej chyba jakiś agent prowokacyjny, któremu szło o to, aby sami Polacy dali broń przeciwko sobie naszym wrogom w Rosyi.“

Co na to można odpowiedzieć? Używając stylu *Przeglądu*, należałoby powiedzieć, iż podobny ustęp mógł wyjść tylko z pod pióra, kupionego moskiewskimi pieniędzmi...

— Korespondent *Nowej Reformy* opisuje dosyć szczegółowo zwiedzanie szkół w gubernii lubelskiej przez nowego kuratora Ligina.

„W Lublinie był p. Ligin w gimnazyum na egzaminie z religii katolickiej. Zdziwił go tu pop, zasiadający w gremium nauczycielskiem. Skąd się wziął?

„— A to taki zwyczaj ustalił się już w naszem gimnazyum — odpowiada dyrektor — religii katolickiej asystuje pop, religii prawosławnej ksiądz: braterstwo i wzajemność.

„Pop wdziera się, aby zabierać; ksiądz przychodzi z musu, bo mu każą. Kilka lat temu w tem samem gimnazyum lubelskiem pop-asystent wyjednał zły stopień uczniowi, który na egzaminie z religii katolickiej, zapytany przez niego o „Ojcze nasz“ w brzmieniu cerkiewnem, tekstu wyrecytować nie umiał. — Rozumiecie? Dziecko katolickie obowiązane odmawiać pacierz po prawosławnemu! Od czasów Hurki w gimnazyum lubelskiem wykład religii katolickiej odbywa się po rosyjsku. Biskup Jaczewski poddał się, nie chcąc ściągać na siebie i na prefekta odpowiedzialności, którąby ich istotnie nie minęła“.

Wykład religii katolickiej po rosyjsku zaprowadzono w gimnazyum lubelskiem nie za czasów Hurki, ale znacznie wcześniej, bo w r. 1869. Jednocześnie, albo trochę później w wielu gimnazyach w Warszawie i w Królestwie zgodzili się księża na wykładanie religii po rosyjsku. Następnie, za czasów generał-gubernatorstwa Albedyńskiego, kiedy rząd rosyjski zawiązał rokowania z Rzymem, wykłady religii w języku polskim przywrócono. Ksiądz, który wykłada religię w gimnazyum lubelskiem nie naraziłby się na żadną odpowiedzialność, lecz, jedynie na utratę posady, tem bardziej zaś biskup. Zresztą, zdaje się chyba, że w tego rodzaju wypadkach ksiądz ma obowiązek — nie unikać odpowiedzialności, ale właśnie narazić się na nią, jak to uczynił niedawno prefekt w Mitawie. Ks. Lewandowski, który w r. 1869 zgodził się wykładać religię po rosyjsku, ogłoszony był za infamisa i uczciwi ludzie, zwłaszcza kapłani nie podawali mu ręki.

— Tenże korespondent na innem miejscu mówi:

„Zaraz po odwiedzinach ks. Imeretyńskiego w Hrubieszowskiem wybuchnęły tam rozruchy, godne pożałowania. — W kilku wsiach, prawie jednego i tego samego dnia, lud powypędzał bydło na pastwiska, łąki, pola, nawet do lasów dworskich. Uzbrojony w cepy i widły, nie dawał do siebie przystępu służbie folwarcznej, broniącej własności dworskiej. Władze rosyjskie zajęły się szybko jego uśmierzeniem; gdy środki łagodne nie wystarczyły, odrazu chwycono się surowych: przyszło wojsko z Hrubieszowa; wtargnęli nawet kozacy, umyślnie wezwani z Lublina. Ruch ludu zakończył się ruchem żołnierstwa, policyi i urzędników po wsiach i chatach. Sprawiedliwości rosyjskiej idzie o wykrycie sprawców, podżegaczy, bo przez nich trafiłaby może na jakie poważniejsze roboty (?) i lepiej też zasłużyłaby się państwu. Podżegaczem, dotychczas wykrytym, jest jakiś żołnierz, podoficer, trzymany długo w Petersburgu, a świeżo uwolniony ze służby: on o miał powiedzieć ludowi, że car rozdaje ziemię każdemu, co ją zawczasu zajmie“.

Jakie to »poważniejsze roboty« mogą stać w związku z rozpuszczaniem tego rodzaju niedorzecznych pogłosek — trudno zrozumieć. Podobne pogłoski szerzyć mogliby chyba agenci rządowi, w danym wypadku zaś dała do nich zapewne powód podróż ks. Imeretyńskiego, z której ciemny lud wysnuł sobie odpowiadające fantazyom jego wnioski.

— Do lwowskiego *Słowa polskiego* piszą z Warszawy o warunkach jakimi skrępowano tamtejszy komitet budowy pomnika Mickiewiczowi, oraz o sposobach, jakich użyto dla utrzymania całej sprawy w granicach dość skromnych:

„Pozwolono zbudować królowi pieśni pomnik w Warszawie, ale obwarowano koncesyę takiemi klauzulami, że wszystkie dążenia, by spopularyzować ideę hołdu narodowego dla umiłowanego poety, napotykają na przeszkody poważne. Zakazano np. tworzenia na prowincyi podkomitetów, w celu gromadzenia składek, zakazano nawet nominacyi jakichkolwiek agentów poza obrębem Warszawy i odmówiono w dodatku niektórym pismom prowincyonalnym prawa gromadzenia ofiar pieniężnych na budowę pomnika. Cel tego rozporządzenia jest jasny. Rządowi chodzi usilnie o to, by uniemożliwić agitacyę szerszą i ograniczyć sprawę pomnika do najciaśniejszych rozmiarów. W dodatku rozesłano pismom warszawskim ukaz cenzury, by w wszelkich artykułach i notkach o Mickiewi zu unikały takich zwrotów, jak „król poetów“, co więcej, by nigdy nie pisały „Adam“ bez dołączenia nazwiska „Mickiewicz“.

Było do przewidzenia, iż rząd rosyjski, dając pozwolenie na pomnik zrobi obok tego wszystko, co można, aby uczczenie wielkiego Polaka nie wypadło okazale, żeby, sprzyjając formalnie nastrojowi społeczeństwa w setną rocznicę urodzin Mickiewicza, faktycznie przeszkodzić wyrażeniu się tego nastroju w postaci odpowiedniej znaczeniu Mickiewicza dla naszego narodu.

— O prześladowaniu towarzystw i pism polskich na Górnym śląsku daje pojęcie następujący wyjątek z korespondencyi *Katolika*:

„Towarzystwo św. Aloizego kilka razy usiłowało zjednać sobie przychylność swoich duszpasterzy. Skutkiem naszych zabiegów odwiedził nas przed kilku tygodniami jeden z Przew. Księży miejscowych w zamiarze objęcia prezesotwa, lecz na drugą niedzielę już się w towarzystwie nie pokazał, zaś wysłańcowi oświadczył ks. proboszcz, że towarzystwo rozwiązane być musi. Poprzednio zaś zażądał, żeby członkowie żonaci bezwarunkowo wykluczeni byli, powtóre, żeby żaden z członków towarzystwa nie ważył się „*Katolika*“ abonować. Po takich i tym podobnych niemiłych zajściach Towarzystwo św. Aloizego nie mając ochoty się rozwiązać, pracuje i nadal pracować będzie nad swoim rozwojem, aż da Bóg lepsze nastaną czasy“.

— Mazurska *Gazeta ludowa* polemizuje z wydawanym przez pastorów *Polskim przyjacielem familii*, który ją oskarżył o propagandę narodową polską i, jak zwykle z pogardą odezwał się o Polakach:

„Wstrętne to i pogardliwe, jeżeli się wygaduje i wyśmiesza pewien naród. Widzisz niedostatek narodu, tedy nie wygaduj, ale staraj się naprawić złe stosunki, a wtedy nie tylko że otrzymasz podziękę, ale podniebiosa cię wychwalać będą. U Stwórcy naszego jesteśmy wszyscy równi, czy to Polak, czy Francuz, czy Włoch, czy Niemiec. Mowę dał nam Stwórca, a więc zbrodniarzem jest ten, który środkami i środeczkami stara się tępić język narodu. Mazurzy nie stanowią narodu dla siebie ale pochodzą z Polaków i są nimi dzisiaj, bo mówią ich językiem, a byłoby łotrowstwem, aby mieli swymi dziadami, ojcami i braćmi pogardzać. Najwstrętniejszy jest ten ptak, który kala swe gniazdo.“

— Od paru tygodni pisma petersburskie zajmują się broszurą niejakiego p. Daryusza Bagnickiego, wydaną w Petersburgu w języku rosyjskim p. t. »Spowiedź współczesnego Polaka«, w której przewidziane jest odbudowanie Polski w unii z Rosyą. Nie zajmowaliśmy się tą sprawą, nie przywiązując wielkiego znaczenia do fantazyi politycznych dziennikarza, który z biegłością polityka szkoły rosyjskiej przeciąga sobie nowe granice między państwami tak, jakby do tego wystarczał tylko czerwony ołówek. Obecnie wszakże dyskusya weszła na grunt kwestyi praktycznych, które należą do spraw polityki bieżącej i dlatego warto niektóre poglądy p. Bagnickiego na tem miejscu przytoczyć.

P. Bagnicki jest Polakiem kresowym, z kresów, ma się rozumieć, wschodnich. Patryotyzm, wpojony w domu w latach dziecięcych, zanikł w nim, jak sam się przyznaje pod wpływem rosyjskiej szkoły i rosyjskiego otoczenia; dopiero pod wpływem wykładów uniwersyteckich profesorów rosyjskich zaczął zdobywać pojęcia polityczne (jak np. żę narodowość historyczna nie może uledz zagładzie), które odkarmiły zamarłą w nim już prawie myśl polityczną polską, a w dalszym ciągu przyczyniły się do tego później, podczas pobytu zagranicą wykłady znanego wroga Polaków, historyka pruskiego Treitschkego, od którego się dowiedział o wzroście żywiołu polskiego w prowincyach do Prus należących i o ciążeniu Niemców w przyszłości w kierunku południowo-zachodnim, a więc w całkiem przeciwnym, niż dotychczas. Zdobywszy te nowe dla siebie pewniki, p. Bagnicki—który mówiąc nawiasem jest, jak wielu Polaków, dziennikarzem rosyjskim, a więc choć odrobinkę Rosyaninem — zaczął myśleć o przyszłości Polski i wymyślił w końcu taką dla nas karyerę: my się zrzekamy Litwy i Rusi, nawet halickiej, którą sprawiedliwość ma przeznaczać na prowincyę rosyjską, a Rosya łączy w jednę całość Królestwo, polską część Galicyi, Śląsk, Poznańskie, Prusy zachodnie i wscho-

dnie, skutkiem czego tworzy się zjednoczona Polska, ma się rozumieć, etnograficzna pod berłem rosyjskiem, w unii z Rosyą.

Dzienniki rosyjskie, a w tej liczbie i *Nowoje Wremia*, nie przyjęły źle tej fantazyi, zwłaszcza podobało się organowi p. Suworina to, co w broszurze było praktycznego, mogącego mieć znaczenie dzisiejsze, mianowicie zrzeczenie się Litwy i Rusi. Niemniej przeto zaczęto p. Bagnickiego indagować, czy on czasem w zanadrzu nie nosi marzeń o całkiem niepodległej Polsce, a on w *Birżewych Wiedomostiach*, organie, którego jest stałym współpracownikiem, tłómaczy się, jak może, i wyjaśnia swe lojalne względem Rosyi intencye. Idealistom powiada, że »jego pragnienia idą dalej«, że pragnie on, »ażeby narody, wyrzekłszy się zamachów wzajemnych na to, co dla każdego z nich jest drogiem, nie upatrywały szczęścia własnego w odosobnianiu się, ale żeby się łączyły w organizmy państwowe wyższego rzędu«. Materyalistów zaś, którzy na ideały brać się nie dają, zapewnia że my mamy interes trzymać się Rosyi:

„Oderwanie się Królestwa polskiego od Rosyi — pisze p. B. — gdybyśmy nawet przypuścili, że Rosya zezwoliłaby na taki *exodus*, postawiłoby ten kraj w położeniu jeszcze gorszem od serbskiego. Królestwo, jako kraj posiadający dość wysoko rozwinięty przemysł, utraciłoby swój *„Hinterland"*, konieczny do istnienia jego fabryk, od których funkcyonowania prawidłowego zależy teraz, a jeszcze bardziej zależyć będzie w przyszłości nietylko możność egzystencyi znacznej i ciągle wzrastającej liczby robotników, majstrów, techników, inżynierów, kantorzystów i administratorów, ale i ten stopień dochodowości wielu gospodarstw wiejskich, przy którym te mogą istnieć. Tracąc rynek zbytu w Rosyi europejskiej i azjatyckiej, oddzielone Królestwo Polskie znalazłoby się zarazem wobec takich samych wymagań ekonomicznych ze strony Niemiec, jakiemi Austro-Węgry nękają państewka naddunajskie".

O tym argumencie całej grupy naszych ugodowców pisaliśmy już obszerniej, roztrząsając sprawę zasadniczo, więc powtarzać się nie będziemy. Nie dziwi nas on w p. Bagnickim. Natomiast dosyć śmiesznem jest twierdzenie, iż Rosya chroni nas przed kolonizacyą niemiecką, która byłaby »nieuniknioną dla samodzielnej Polski«. Jakoś to się nie godzi z nauką Treitschkego o wzroście żywiołu polskiego w Prusiech i o przyszłem parciu Niemców na południowy zachód. Jeżeli dziś w zaborze pruskim kolonizacya niemiecka odbywa się tylko przez sztuczną organizacyę rządową, to jakżeby była »nieuniknioną dla samodzielnej Polski«.

= Petersburski *Swiet* projektuje postawienie pomnika Suworowowi w Warszawie, motywuje zaś swój pomysł między innemi tem, że stolica Polski ofiarowała w roku 1794 temu, jak go nazywa, »rycerzowi bez trwogi i skazy«, złotą tabakierkę z napisem: »Warszawa zbawcy swemu. 4 listopada«. Szowinistyczny dziennik objaśnia, iż podarek ten, »o którym Polacy nie powinni zapominać, a Rosyanie częściej wspominać, został ofiarowany przez magistrat zebrany w komplecie i z udziałem wielu znakomitych obywateli miasta«.

Fakt ten nastąpił bezpośrednio po rzezi Pragi i miał na celu—o czem organ p. Komarowa nie wspomina — zapobiedz powtórzeniu się »zabawy« w samej stolicy. Nie przeszkadza to dziennikowi petersburskiemu drwić sobie z naszego społeczeństwa w następujących słowach:

„Suworow ma wiele danych, by go w dobrej pamięci zachowały serca nietylko rosyjskie, ale także serca Polaków. Szczególnie zaś w chwilach „ugodowego" nastroju należy wspomnieć Warszawie o Suworowie i życzyć tak ze względu na Polaków, jak i na Rosyan, aby postawiono mu pomnik w centrum Warszawy".

Istotnie ugodowcy nasi muszą mieć sporo »zapału« dla sprawy, skoro przytakiej przygrywce mogą deklamować o swych dla Rosyi uczuciach.

Z OBCEGO ŚWIATA.

PROTEST FLAMANDCZYKÓW.

Alldeutscher Verband, naśladując w swej działalności *Słowianskoje błagotworitielnoje obszczestwo* chciałby objąć swym wpływem wszystkie plemiona szczepu germańskiego Nie pozostawił więc w spokoju Flamandczyków belgijskich, ale i wśród nich propagować zaczął swój ideał zjednoczenia wszystkich ludów germańskich w wielkiej niemieckiej ojczyźnie. Propaganda nie udała się jednak, na tem samem bowiem posiedzeniu »Związku wszechniemieckiego«, na którem Niemcy austryaccy z wściekłością występowali przeciw uroszczeniom słowiańskim i polityce rządu wiedeńskiego, odczytano protest Flamandczyków, który skwasił humory obecnym.

Stały wydział »Flamandzkiej Rady ludowej« wystosował do zarządu Związku wszechniemieckiego list, w którym pisze:

»Od niedawna czynione są po stronie niemieckiej usiłowania, aby ruch flamandzki wyzyskać na rzecz pangermanizmu i nadać mu kierunek, który sprzeciwia się jego wewnętrznej istocie, dobru naszej ojczyzny i woli naszego ludu. Z wielkiem niezadowoleniem dowiadujemy się, że pangermańscy zapaleńcy występują nawet z żądaniem, żeby górny język niemiecki był zaprowadzony w Belgii, jako język rządu krajowege, armii i wyższego szkolnictwa, że mamy dobrowolnie lub niedobrowolnie zostać przyłączeni do związku państw niemieckich, w którym poprzestać winniśmy na roli jaką w nim odgrywa Bawarya lub nawet na skromniejszej jeszcze.

»Jako stały wydział »Flamandzkiej rady ludowej«, mamy prawo przemawiać w imieniu ludu flamandzkiego i obowiązani jesteśmy wypowiedzieć wam jak najwyraźniej, że Flamandczycy wszystkich stronictw zgodni są w tem, iż należy stanowczo odpierać tego rodzaju usiłowania.

»Ruch flamandzki wytknął sobie jako cel: moralne i ekonomiczne podniesienie ludu flamandzkiego i w tym celu żąda w Belgii równouprawnienia Flamandczyków z Walonami i nieograniczonej równości obu języków krajowych, holenderskiego czyli flamandzkiego i francuskiego. Życzy sobie także, żeby północne i południowe Niderlandy jak najściślej były złączone z sobą i sobie coraz więcej wzajemnie pomagały. Skoro zrządzeniem smutnego losu państwowo są rozdzielone, to jednak nie powinny zapominać, że Holendrzy i Flamandczycy należą do jednego szczepu, że mają ten sam język, tę samą wolnomyślną konstytucyą, że jednym i drugim to samo grozi niebezpieczeństwo, słowem, że mają wspólne tradycye i interesa.

»Nadto oświadczamy wam, że Flamandczycy pragną za każdą cenę utrzymać samodzielność i niezależność Niderlandów, że są wprawdzie Germanami, ale nie są Niemcami; że uważają wprawdzie Niemców jako współplemieńców, ale nie uważają ich za rodaków; że językiem ich jest język niderlandzki, ale nie górny niemiecki, i że uważają Niemcy, jako mocarstwo zaprzyjaźnione, ale mimo to jako obce.

»Że niegdyś zagraniczni mocarze bez pozwolenia naszych praojców i z pogwałceniem konstytucyi krajowej ziemie nasze przyłączyli, wprawdzie na papierze tylko, do nieistniejącego już cesarstwa rzymskiego, czy do byłego królestwa germańskiego, mało to obchodzi nas wolnych synów kraju, w którym wszelka siła i władza pochodzi z ludu. Uważaliśmy za konieczne złożyć niniejszą deklaracyę, aby rozproszyć ewantualne wątpliwości«.

Ma się rozumieć, energiczny protest Flamandczyków wywołał powszechne oburzenie. Komiczny lingwista, baron Pfister-Schweighausen, który poprzednio dowodził, że język czeski jest właściwie narzeczem niemieckiego, oświadczył,

że Flamandczycy nie mają prawa sami decydować, czy są Niemcami, czy nie. Zdaniem pana barona, Belgia, jako »kolebka cesarstwa niemieckiego«, musi być państwem niemieckiem, a Belgowie Niemcami, bo są właściwie mieszańcami, krwi fryzyjsko-saskiej.

ZAMACH NA P. FAURE'A.

Imię Polski znów wypłynęło nad Sekwaną, a to z powodu zamachu na prezydenta rzeczypospolitej. W chwili gdy p. Faure przejeżdżał przez lasek Buloński na wyścigi do Longchamps, na skręcie alei eksplodowała bomba, która wszakże nikomu krzywdy nie zrobiła, dzięki czemu prezydent spokojnie pojechał dalej. Jak się okazało, puszka była nabita zwykłym prochem strzelniczym i znawcy twierdzą, że gdyby były nawet odłamki jej poszły w kierunku osoby prezydenta, życiu jego nie groziło żadne niebezpieczeństwo.

Na miejscu wypadku obok szczątków bomby znaleziono sztylet z miedzianą rękojeścią i nabity pistolet starego systemu. Na przedmiotach tych wyryte były słowa: »Alzacya-Lotaryngia — Polska«. Nadto dzienniki donoszą, że p. Faure otrzymał list bezimienny następującej treści: „Do p.P rezydenta Rzeczypospoliteji, w Paryżu nad Sekwaną, Francya, Europa. Panie prezydencie! Zdradziłeś swoją ojczyznę ponieważ opuściłeś Alzacyę i Lotaryngię, a Polskę poświęciłeś tyranowi rosyjskiemu«.

Policya francuska, biorąc asumpt z użycia przez autora zamachu imienia Polski, zabrała się do szykanowania mieszkających w Paryżu naszych rodaków i zdołała oburzyć kolonię naszą w Paryżu dokonaniem szeregu nieuzasadnionych rewizyi u emigrantów starszego pokolenia. Przy tej sposobności i prasa nieco Polakami się zajęła, a niektóre dzienniki wzięły naszych rodaków w obronę, dowodząc, że kolonia polska w Paryżu składa się z ludzi spokojnych, pracujących, którzy, przy całem swem przywiązaniu do polskiej ojczyzny, nie żywią uczuć wrogich dla dzisiejszej Francyi i czynnej polityki rewolucyjnej nie uprawiają.

Cały ten zamach, ile nie jest dziełem jakiego szlachetnego waryata, wygląda na komedyę. Wiele przemawia za tem, iż rzecz została urządzona przez policyę francuską, że uważała ona za stosowne przypomnieć w efektowny sposób publiczności francuskiej p. Faure'a, który oddawna już zaczął tracić na popularności i któremu ta popularność, zwłaszcza w przededniu wyjazdu z wizytą do Petersburga, jest bardzo potrzebna. Jeżeli tak jest, to nasuwa się pytanie: jaki cel miano na widoku, mieszając w tę sprawę Polskę?...

PODWÓJNA MIARA.

Pisma nasze, nie wyłączając skrajnie zachowawczych i ugodowych z współczuciem i uznaniem mówią o proteście irlandzkim z powodu jubileuszu królowej Wiktoryi. Kiedy w izbie gmin postawiono wniosek, żeby wszyscy jej członkowie w dzień jubileuszu zbiorowo wzięli udział w obchodzie, Redmond, naczelnik stronnictwa irlandzkiego, oświadczył, że jego ziomkowie głosować będą przeciw wnioskowi.

Naród irlandzki — powiedział Redmond — rozumie, że Anglicy mają prawo i powinni obchodzić ten jubileusz. Ale byłbym tchórzem — dodał — gdybym tu nie zaznaczył, co myślą i co czują w tej chwili moi ziomkowie. W ciągu tych sześćdziesięciu lat sława i pomyślność Anglii wzrastały, ale dla Irlandyi była to epoka nędzy i ucisku. Lud angielski uczcić pragnie swój rząd i flagę narodową, ten rząd jednak i ta flaga są dla ludu irlandziego symbolem wyzysku i upokorzenia. Obowiązek nakazuje więc posłom irlandzkim zaprotestować przeciw uroczystości w imieniu swych wyborców.

Mowy Redmonda wysłuchała izba gmin w poważnem milczeniu, nie przerywano jej okrzykami i nikt nie odpowiedział na nią, bo w tej uroczystej chwili wszyscy Anglicy zrozumieli, że posłowie irlandzcy postąpili tak, jak im honor i obowiązek narodowy nakazywały.

Zrozumiały to i pisma nasze, te same, które potępiły Lewakowskiego za protest przeciw uczczeniu pamięci cara Aleksandra III. A przecie nawet Redmond zaznaczył, że królowa Wiktorya osobiście nic w sprawie irlandzkiej nie zawiniła, podówczas gdy Aleksander III był niewątpliwie głównym sprawcą i inicyatorem prześladowania Polaków w państwie rosyjskiem.

KRONIKA.

= Prokuratorya w Ełku wytoczyła *Gazecie ludowej* proces z powodu artykułu, skarżącego się na usunięcie ze szkół języka polskiego, chociaż istnieje przepis, żeby oprócz religii uczyć dzieci czytania i pisania po polsku. *Gazeta* przyznaje, że przepis taki rzeczywiście istnieje, ale nie jest wykonywany w wielu szkołach.

= Mieszkańcy Grudziądza w kwietniu jeszcze podali do biskupa Rednera prośbę o zaprowadzenie polskich nabożeństw majowych. Odpowiedź była odmowna i nadeszła dopiero — w czerwcu.

= Podczas rozruchów w Schodnicy żandarm po niemiecku wzywał do rozejścia się robotników Polaków.

= W Dusznikach (Reinerz) na Śląsku wzniesiony został pomnik Szopena kosztem i staraniem p. Magnusa z Warszawy.

= W Maribo na wyspie Laland, należącej do Danii, gdzie latem a nawet zimą przebywa wielu robotników polskich zbudowano kościół katolicki. Składki na ten kościół zbierał i u nas w kraju ks. Ortwed, wielki przyjaciel i prawdziwy opiekun wychodźców polskich, który mieszka stale w Maribo.

= Do „niemieckiego towarzystwa rolniczego" w Berlinie należy pocobno wielu obywateli ziemskich z Królestwa. Niedawno jeden z takich członków, p. Lisowski z Szołajd oświadczył listownie zarządowi, że występuje z towarzystwa z powodu prześladowania narodowości polskiej w zaborze pruskim.

= Za awantury w teatrze letnim w Krakowie podczas przedstawienia sztuki „Kusiciele ludu" zasądziło starostwo, na podstawie starego, Bachowskiego rozporządzenia z r. 1854, posła Daszyńskiego i p. Hackera na 14 dni aresztu, a kilku innych na 10, 8 i 6 dni. Przedstawienia sztuki p. Smolarza (pseudonim literacki pewnego prokuratora), antysocyalistycznej i antysemickiej, zostały jednak przerwane, pomimo że drugie przedstawienie, zdaje się, że na życzenie policyi, było naznaczone.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.